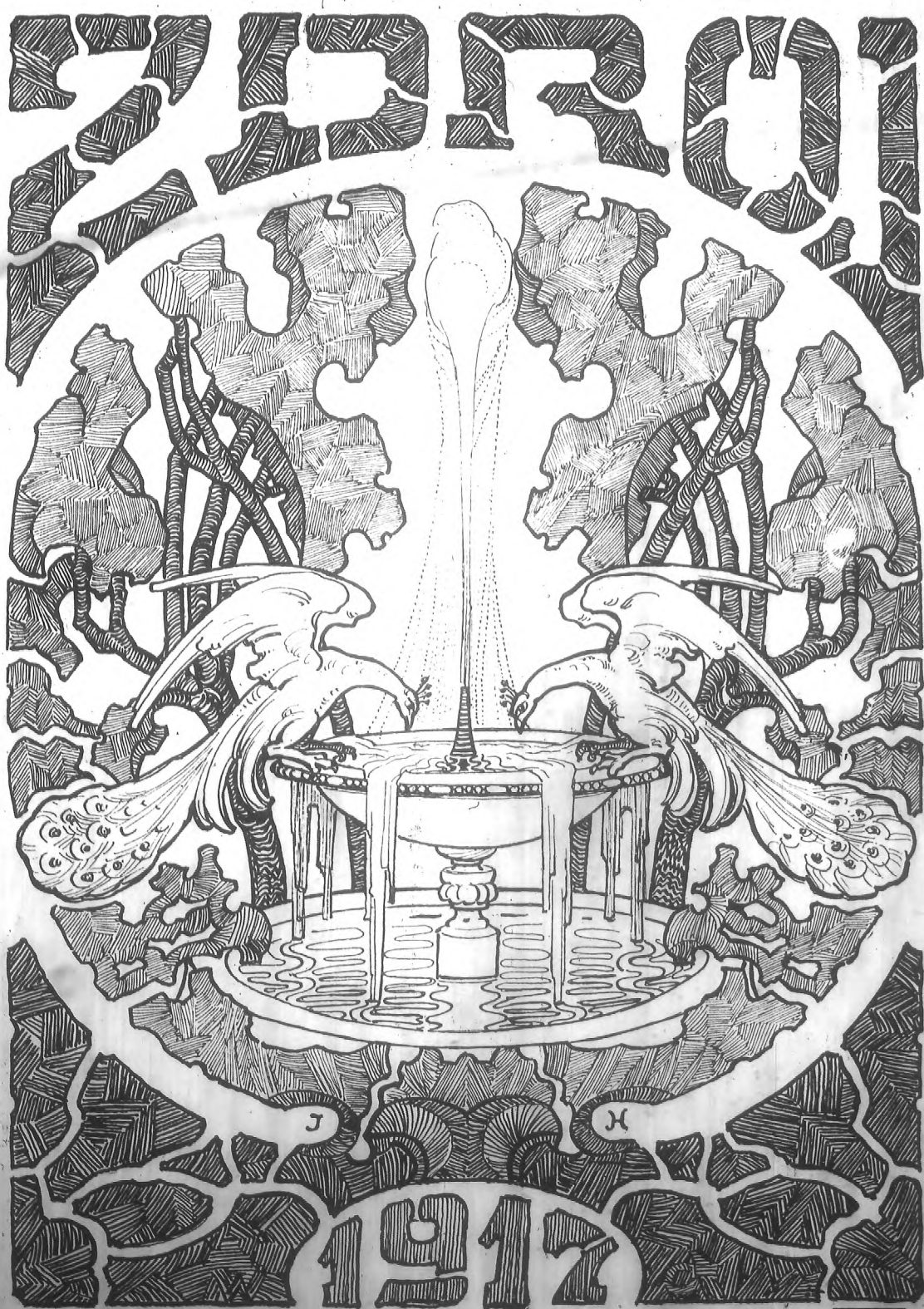




# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.  
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Zdrój” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

**Prenumerata roczna** (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek  
**Zeszyt pojedynczy** 2 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.  
**OGŁOSZENIA:** Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

**ADMINISTRACJA** otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

**OD REDAKCYI:** Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusye na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

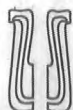


Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

**W. SCHULZ W POZNANIU**

—: Nowa ul. 8., w Bazarze. — Tel. 1484. — Rok założ. 1873. —:



# „Westa“

**Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie**

Rok założenia  
1873

W Poznaniu

Rok założenia  
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia  
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na  
**posag** z rewizją lekarską i bez rewizyi

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie  
— od spłaty składek i płatność renty —

**Nizkie składki**

**wzrastające dywidendy**

**dogodne warunki**

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się  
i w czasie wojny

**Siedziba dyrekcji w Poznaniu**  
w własnym gmachu św. Marcin 61

**Oddział w Warszawie:** Aleje Jerozolimskie 31  
Agencye specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.

**Pożyczki** na przystępnych i dogodnych warunkach.

**Papiery wartościowe** jako pewna i korzystna lokacya  
kapitałów.

**Rachunki czekowe** z wielkimi dogodnościami dla wpłat  
i wypłat.

**Udziały członków** przynoszą 8 procent dywidendy.

**Wkładki i oszczędności** oprocentowuje od dnia złożenia  
pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

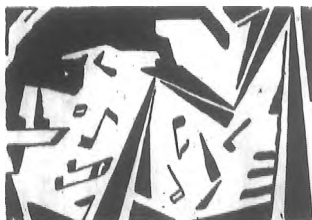
**BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).**

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚŁOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ. PLAC WILHELMOWSKI 17.

**TREŚĆ:** Martyrologia muzyki polskiej (przyczynił Jerzy Hulewicz). Rozłewienie Ducha — Juliusz Słowacki (Genesis z Ducha).  
Płonący wiatrak — Nowina. Opowieść rybalt (powieść — C. D.) — Wacław Berent (przyczynił Jerzy Hulewicz). U poetów —  
Miriam (przyczynił Jerzy Hulewicz). Władysław Jarocki — Władysław Kozicki. Miscellanea. Spis rzeczy Tomu I.  
**RYCINY:** Dwie plansze: Płonący wiatrak — Jerzego Hulewicza. Powrót z Golgoty — Władysława Jarockiego.

## MARTYROLOGIA MUZYKI POLSKIEJ.



uzycalnym jest Włoch rozśpiewany, który w szerokiej melodyjnej kantylenie wypowiada radość życia i namiętne wzruszenia. Muzyka włoska, to śpiew duszy włoskiej — to naród sam.

Nieuchwytna, pełna czaru, słonecznego blasku, szafiru morza, upojnego zapachu kwiatów, muzyka włoska dźwięczy w każdym atomie powietrza, jest radością i słońcem życia narodu włoskiego i w niczym nie ustępuje muzykalności niemieckiej, którą się znów ukształtowała według psychiki rasy germańskiej.

Wyrazem muzykalności niemieckiej jest nietylko naród sam, ile poszczególni jego twórcy: muzyka niemiecka, to Bach lub Beethoven, Wagner lub Brahms. Wielcy ci twórcy, w których ześrodkowała się genialność twórcza narodu niemieckiego, odrębnością swojej indywidualności stworzyli szkoły, różne kierunki i wielki ruch muzyczny. Niemieccy twórcy przemawiają do narodu, a ich zdumiewający talent organizacyjny sumiennością, właściwą rasie niemieckiej, ułatwia możność porozumienia się twórcy ze społeczeństwem. Stąd cały system i uporządkowanie stosunków muzycznych. Wielka ilość orkiestr, oper, zespołów chóralnych, towarzystw muzycznych etc. dają możność twórcom niemieckim wszelkich kierunków przemawiania do publiczności.

Bardzo zbliżoną do muzykalności włoskiej jest muzykalność narodu rosyjskiego: tu jak i tam muzyka jest duszą narodu. Twórcy rosyjscy w rodzaju Glinki, Balakirewa lub Czajkowskiego dużo mają pokrewieństwa z muzyką włoską. Ta sama rozlewność i szerokość melodji, tylko że o ile w muzyce włoskiej dźwięczy radość życia, o tyle w muzyce rosyjskiej przeważa bezbrzeżna tęsknota w łączności z prawie orjentalnym gorącym kolorytem. Temu uwielbieniu muzyki w Rosji dało wyraz kilku wielkich mecenasów sztuki jak Bjelajew i Kuszewicki, którzy stworzyli wiekopomne nakłady muzyczne i nowoczesnemu ruchowi muzycznemu w Rosji dali

możność rozwoju pod każdym względem. Wirtuozi, dyrygenci i śpiewacy rosyjscy, cały szereg wielkich przedsiębiorstw, popieranych przez mecenasów sztuki, roznosi sławę muzyki rosyjskiej po całym świecie. Muzyka współczesna rosyjska zajęła w krótkim czasie wybitne stanowisko w twórczości europejskiej, wywierając wpływ na muzykę całego świata.

Muzyka czeska ukształtowała się według ich twórców — słynne są zespoły kameralne czeskie, a Filharmonja i Teatr Narodowy w Pradze są instytucjami nawskroś narodowymi i służą przedewszystkiem sztuce narodowej.

O ile we Włoszech muzyka jest duszą narodu, w Niemczech kultem dla twórców narodowych, w Rosji uwielbieniem i elementarną potrzebą sztuki, w Polsce, gdzie się tak pięknie rozwinęły malarstwo i literatura, muzyka współczesna polska walczy z obojętnością ogółu, niewolniczem naśladownictwem zagranicy i hołdowaniem popisom wirtuozów i „gwiazd.”

Mamy nieprzebrane skarby motywów ludowych, może jedynych w swoim rodzaju, które świadczą, że niegdyś dusza polska pragnęła wypowiedzieć się muzycznie. Chopin podjął ten przebogaty płód duszy polskiej, podniósł na wyżyny ogólnoludzkie i przemówił do całego świata. I to, co powinno było stać się podwaliną do budowy sztuki, drogowskazem dalszego jej rozwoju, utonęło w morzu obojętności i niedołęstwa. Bo uwielbienie Chopina w Polsce i kult dla jego muzyki powinien był być przedewszystkiem kultem dla muzyki polskiej i troską o dalszy jej rozwój. Cały ruch muzyczny w Polsce nie sprzyja rozwojowi muzyki polskiej: cały system wirtuozów i „gwiazd” zagranicznych jest jaskrawym przeciwieństwem tego, co być powinno. Każdy wysiłek na polu muzyki, który niema na celu porozumienia się twórcy ze społeczeństwem, a który przeciwnie z całą bezwzględnością się temu przeciwstawia, jest krzywdą dla kultury polskiej.

Objawem niebywałych stosunków muzycznych u nas jest działalność Filharmonji Warszawskiej, jedynej instytucji muzycznej polskiej, wzniesionej kosztem miljonów ofiarności publicznej. Filharmonja, która powinna była stać się ogniskiem twórczości polskiej, od początku założenia była reprezentantką agencji koncertowych zagranicznych, a sensacyjnymi widowiskami i popisami zdeprawowano do reszty upodobania i gust publiczności, wytwarzając przepaść między społeczeństwem a twórcą. Urządzenie kilku popularnych wieczorków albo poranków muzyki polskiej, dorywcze granie polskich kompozycji, niedbałe traktowanie muzyki polskiej, postawienie twórczości polskiej na ostatnim planie, musiało z czasem i u publiczności utrwalić przekonanie, że muzyka polska jest produktem ubogim, a twórczość polska wobec twórczości zagranicznej nie zasługuje na gorętsze zainteresowanie społeczeństwa. Zgroza ogarnia na myśl tych setek tysięcy polskiego grosza wywiezionych za granicę wobec nędzy polskiego muzyka. Dość powiedzieć, że do dziś dnia nie mamy nakładu polskiego nut w wielkim stylu, że nie mamy możliwości wydać ani jednej partytury polskiej, zaś partytura Halki ukazała się w pół wieku po jej powstaniu, wydana przez sekcję Moniuszki, a więc ze składek prywatnych.

*Moniuszko umarł z nędzy — utwory Chopina wydano za granicą. Noskowski borykał się z losem i w czasach, kiedy tysiącami płacono znakomitym prymadonnom, „z łaski” wykonywano jego kompozycje — młoda Polska tuła się po świecie, utwory*

*jej wydaje zagranica i poprzez zagranicę wolno jej przemawiać do Polski. Karłowicz bojkotowany za życia przez ówczesnego dyrektora Filharmonji — nie jest grany i teraz po śmierci, Stojowski jest profesorem w Ameryce, Młynarski, twórca Filharmonji dyryguje w Anglii, Paderewski mimo miłości do kraju żyje za granicą, Żeleński — Nestor muzyki polskiej — skazany jest na milczenie.*

*Na teatrze narodowym w Pradze widnieje napis „Naród sobie” — JAKIE GODŁO WINNA MIEĆ FILHARMONIA WARSZAWSKA?*



## ROZLENIWIENIE DUCHA.

Oto znowu powtórzony o! Boże mój upadek Ducha. Albowiem zleniwienie się jego w drodze postępu, chęć pobytowania dłuższego w materji, dbanie o trwałość i o formy wygodę, były i są dotąd jedynym grzechem braci moich i Duchów synów twoich. Pod tem jedynem prawem zakłète pracują słońca, gwiazdy i więzyce; a duch wszelki naprzód idący, chociażby skazę miał i niedoskonałość, przez to samo że już twarzy swej ku celom ostatecznym odwrócił, choćby daleki jeszcze był od doskonałości, wpisany jest wszakże w Xięgi Żywota.

JULIUSZ SŁOWACKI — Genesis z Ducha.

## PŁONĄCY WIATRAK



*Podług oknaforty Jernego Huiawica.*

*Stoi dumny...  
Olbrzymie rozwiera ramiona  
nad płaskim kręgiem ginącej dali,  
krzyżem żegnając zorane zagony.  
Na świata rubieży słońce kona  
i krwawą luną nieboskłon pali.  
Spia wiatry...  
On, wiatrak sędziwy  
strudzony spoczął i duma.*

*Któż waży się budzić olbrzyma?  
Czy idą już strachy i nocne dziwy? —  
Płomyk małeńki wśród szczebli się zwija,  
pełza i chyłnie od dołu się skrada,  
ognistą koronką olacza krawędzie,  
lże mu stopy stulezyczna żmija,  
rośnie i bucha — już widać ją wszędzie. —  
Bacz przyjacielu, to zdrada, zdrada!*

*On stoi,  
czeka do walki wyzwania.  
On, pracą hartowny walki się nie boi.  
Fala płomienna ogniami żarzy,  
obłewa, okala, ognistym go chwyta pierścieniem,  
wiatr jęknął — brat cicho nad bratem się skarży.*

*On zadrżał,  
aż bele załrzeszczą. Już dyle skrecone,  
czekać aż pękną.  
Hardo w bezwładnej sile spętany stoi  
podobny do trumny  
znaczonej świętem męki godłem.*

*Czy skona bez boju?  
Nie, nie stokrotnie!  
Już przysły pęta, co krzyż mu krępują,  
zgrzytnęły glucho i twardo.  
Siercząc nad falą rozjarzonej żagwi,  
on czoło nad wroga wynosi hardo,  
w ruch puszcza ramiona,  
aż z łękiem się cofnie gawiedź zdumiona.*

*Broni się, broni:  
Tytan potężny  
nie łatwo wrogowi czoło swe skłoni.  
W szalonym rozpędzie ogniste kolory  
rzucają tysięczne skier meteory,  
ramiona w wirze ognistej tarczy  
bronią rozpacznie bólem targane  
groźnym żywiołom do serca dostępu.  
W ostatnim wysiłku młyn huczy i harczy,  
precz odrzucając ogniste szmaly,  
on broni życia, domu, swej chaty...  
Na straszną walkę czy sił mu starczy? —  
W wirze złowrogim łopoczą proporce,  
żywioł hulaszczy do trzewi się wdziera,  
on głuchym rytmem męki chwile znaczy  
ostatniem tchnieniem w serdecznej rozpacz...  
Dumny i wielki jest zgon bohatera!*

*Zwęglona olbrzyma ostała kolumna  
bez znaku krzyża...  
Trumna, trumna, trumna!..  
Lecz granitowe serce nie spłonęło,  
serce hartowne, silne, co ziarno mello  
żyje i czeka  
znów na świętego Tytana — Człowieka.*

NOWINA.

WACŁAW BERENT.

## OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



ecz oto w sukiennicach miesza-  
ją się znów tłumy i cichną  
zgiełki: — zdala słyszeć się  
dają kołatki trędowatych.

Kupą ciągnie ćma zarazy.  
Grzechocze kołatkami, jak trze-  
ba, postukuje w swe misy cy-  
nowe i wlecze się w pelganiach  
kalekich. Jeden oto śród nich,  
zwawszego snąc ducha, pod-

rywa się na kostyrach swoich, skacze jak ta żaba,  
trzepocze pstremi łachmanami. I do kobiet się wy-  
szczyra. Takie to życie mocne w niejednym czeku.

Rzucał im, kto dobry, jaki ochłap na drogę: —  
niech podejmą, gdy się zwłoka, — a sam umykał  
czempredziej przed srogim ich fetorem i widoku obrzy-  
dliwością.

Opustoszały sukiennice.

Na miejscu pozostał rycerz tylko. Uczynił to z na-  
wyku godności, spornęj popłochom gromady. — Z od-  
razą jednak spoglądał na te karki ku ziemi dogięte,  
na lby owrzdzone i zaszłe szpetniejszą jeszcze białą  
zagoję. A od pysznego płaszcza rycerza wionęły  
w one lby jakoweś mętne wyobrażenia rozkoszy:  
odgadywały one półzwierze, że tak się panowie przy-  
oblekają do kobiet. I zagziła się do życia płochoci  
ponura czereda potępionych, chwytając się pazurami  
płaszcza zalotnika. Rzeklibyś, ta szatanów chmara, za-  
żegnwana przez dominikanina, opadła oto na ziemię,  
rzuca się na swój żer grzechu, obtańcowuje go ko-  
łem wyjćw.

Wyrwał jednemu z nich kij z pod pachy, oczy-  
ścił miejsce przed sobą, rozszerzył koło tych djabłów.  
A oni otaczają go zdala, jak te szakale. Na nie-  
jednym czubie płonie mycka czerwona, a z rozognionej  
rany pyska szczyra się zębiska żółte chichotem  
uraglowym. Wyciągają ku niemu kostyry swoje jak  
te widły piekiel.

Przypomnił słowa dominikanina z przed kramu:  
komu to, dziś może jeszcze, śmierć się tym znakiem  
wróży?

I w otrząsie nagłym przysłonił oburącz twarz  
przed trzecim już dziś zwidem czerwonej rękawicykróla...

Wśród trędowatych zakotłowało się tymczasem.  
Co rańniejszy wykakował z gromady na dragach

swoich. — „Brat!.. Braciszek!“ dało się słyszeć z gęby  
niejednej, której zaraza mowy jeszcze nie odjęła.

Wstał brat franciszkanin między te kaleki i roz-  
stawi nad nimi skrzydła habitu.

„Srodze was pan Bóg pokarał za grzechy wasze,  
bracia trędem zdjęci.“

A! oni nuże łasić mu się pod ramiona i skomleć  
za jałmużną litościwego dotknięcia, a bardziej jeszcze  
za onym kęsem miłosierdzia, jaki jest w dobrem słowie  
człeczem.

Więc rzecze im:

„Baczcież mili, jakżeście to wy stokrotnie szczę-  
śliwsi od Hioba starozakonnego, który zapalczywość  
gniewu pańskiego lamentem się jeno obwoływał  
z barłogu beznadziei żydowskiej. Dla was że to,  
chrześcijany! Bóg syna swego na mękę dał, więc i na  
wasze, pomnijcie! uleczenie: aby się szczęśliwość jak  
morze rozlała, gdy się pokuta dopełni.“

Dźwigać się jęły ku górze te karki doziemne.  
I ta pelgaczy chmara, niczem szarańcza za żerem nie-  
ustannie podrywna, sprząć pocyna szyje ku wej-  
rzeniu górnemu, by chociaż raz oderwać czy od  
ochłapów na śmietnikach.

Takie jest dobrego słowa miłosierdzie.

I garną się z wdzięcznością pod ramiona br-  
ciszka, tulą się do habitu jego. Dotyka brat dłonią  
białą te pełne wrzodów i jam oblicza.

„W obrzydłości pogrążeni, wskrześnienie z uśmie-  
chem młodzieńców, a między chóry anielskie powioda  
was za ręce najpiękniejsze paniel..“

Zatliwszy tak rojeń płomyki po duszach jak  
piekło ciemnych, aby płomień wiary w nich rozgo-  
rzał, przysłonił brat twarz swoją. I wymadła w dłonie  
on żal przed Przenajświętszą Panną na niepomamo-  
wanie gniewu Pańskiego, który smutkiem, nędzą,  
cierpieniem i wielkimi szkody ciała kara, wciąż  
i wciąż..

Udzielił się jakby ten smęt i rycerzowi stojącemu  
opodal. Owiał duszę tak mocno, że zdmuchnął mu  
w myślach nawet grozę miecza zawiesłego nad nim.  
I oto zadumał się, już nie nad swoją, lecz nad  
człeczą dolą.

Napatrzył się w sukiennicach doznań pospółstwa  
i rozważa, że wszystko to razem byłoby jeno gnu-  
śnemi targi i przetargi mieszczan, gdyby przypadek

nie wwiódł między tłumy — ot, jakiegoś tam gładkiego lica pod róż wiankiem i wesołych oczu młodości dziecięcej. I przybyło rojeniu się tu ludzkiemu gdyby skrzydeł lekkości, na których zakolebała się ludziom jakby ochota sama i radość życia serdeczna! Motyl jasnobarwny, rzekniesz, — Psychy wysłannik, powiadają goliardy, — zatrzepotał tu nad gnuśnemi głowami. I spalił się cimą u pokusy pierwszego kramu... A z doli człecznych wyrzały, jak te ohydne maskary smutku: — grzechów łęki, diabły, kar doczesnych pogrozy, trądy i śmierć sama.

Oto, wychyliwszy się z za węgła, następuje wprost na niego ten ruchomy skup kiru. I kracze swoje z pod krzyżowej larwy:

„...Wymódlcie duszę z czyscowej udręki, wyzwólcie jałmużną.“

Lokciem i kułakiem odepchnie rycerz od się śmierć, nalażącą nań tak niecierpliwie:

„Jest dosyć dziadów pod kościoła progiem, by omadlały grzechy nasze młode! Dosyć diabłów cupi na kościoła zrębach, by straszyły sumienia stare! Takiego dziada i diabła takiego za cały kościół w pierśiach mieć — kobiet to rzec... Więc ci pacierza nie dam, — jałmużnę racz.“

I stargnął z ramion płaszcz swój drogocenny, mnie go w gniewnych rękach.

„Bacz, dając tę jałmużnę za dusze wszystkich grzesznici, ludziom nazbyt miłych, — za to przydawanie. życiu skrzydeł lekkości! — za ich wojnę z świata smętem!“

Chciwie chwytą śmierć w szpony swoje bodają płaszcz jego tymczasem.

Daremnie pan szczydry płaszcz zbył, daremnie grzechem myśli grzechy czudnych czynów salwował, daremnie życie człecz przed grzechem, diabłem, trądem i śmiercią sobą rycersko zastawiał, — daremnie czynił to rycerz błędny, — własne serce tylko dołą człeczą obciążył.

Jak opodał ten rycerz błędny drugi, szukający już tylko w sercu swojem Graała: — jak brat franciszkanin wśród trędowatych.

W zadumie nad dołą człeczą owiało ich obu onym czyscem ducha: acedią, która jak dymami kadzidel pogrzebnych i kirem żałoby przesłania nam świat cały. —

Huczą ulice wciąż. Zewsząd rozgielk się niesie, jakby całe to miasto żyło jeno targiem nieustającym. Gromadami szpaków obwołują kupcy, wciąż jedno, koleś. A gdy się w tych pokrzykach zwadza, naszczekują na się, jak te psy z za kramów. Krzyczą lekarze z pod kościołów o ziół swoich mocy skutecznej; krzyczą cyruliki z pod swego znaku nogi obciętej, zachwalają swe cęgi i noże; krzyczą klasztory prośbami kwestarzy; krzyczy kościół obwoływaczami

śmierci, lub głosem zakrystjanów w świąt następnych obwieszczaniu.

Niczem na bitwie skłębiają się ludzkie tłumowiska: „Pojrzyjcie!“ a „Kupujcie!“ — pod to hasło: „Pieniądze!“ które rzuca raz po raz mieniacz z nad ławy swojej. Zasię pod gołą ścianę kościółka znoszą, rzekniesz, rannych bitwy onej: tam pod ręką lekarza ten krzyk: „Ratunku!“ bełkoce w ślinie i łzach ludzkich. Gdy opodał szumią pstrociny szmatek niewieści, wlokąc za sobą niejednych piersi zadławiony spazm: „Miłowania!“ A wśród zamętów tej bitwy dnia powszedniego snuje się czarny obwoływacz śmierci z ostatnim krzykiem powalonych na zawsze: „Pa-cie-rza!“

Tak to w mieście! Temu uczyły przesyte i rzyganie w nadmiarach, temu śmierć pod jego progiem głodowa; temu śmiechy, radość i nadzieja, temu kłatwy, rozpacz i głowa o mur bicie; temu rozkosz w całowaniach pod ciche pieśczoły kochanki, temu ostatniego pacierza szepkanie pod wiatyku cichy dzwonek; — a wszystkim zarówno jeden lęk i groza przed oną skoczka kościanną, która każdego z kolei poprosi w swój taniec śmierci.

Ozwały się dzwony kościoła i rozpylają jakgdyby popioły w przedwieczornej pory smęt.

Nie karz nas, Panie, wedle win naszych, lecz wedle wielkiego miłosierdzia Twego!

Nad ulic gwały i dzwony kościoła uderzą, nagłe mosiężne łaskoty — pospólstwu na baczenie.

Słowo się wieścić ma!

Jak w kotły biją łomoty tonów i biegną hen, w powietrze dale; tam „gonionego“ w pędzie grają: — leczą wici skrzydlate...

Wraca echo powietrznych jeźdźców rysią: muzyka drży w ten cwał, tupotem surmy huczy z gardzieli trąb, — aż tych rytmów wysokim zakrzykiem nie rozhejnali się pobudki zew: — „Woła króll.. woła króll.. woła króll..“

Na kościoła progach stał — sam za chorągiew na wietrze łopotliwą — chłop w czerwieniach szerokich, z kitą u krasnej czapy. Uchorągwną trąbkę odejmuje od gęby jeszcze wzdętej i rozstawia przed swe oczy pismo.

Ścichły dzwony na kościele. Ciągają zewsząd zszepcane mrowia. A herolda głos donośny uderza królewskim słowem na rynek cały, dudni pod stopem sukiennic: —

„Wiadomo czynimyl.“

I zważyć nadewszystko każdemu rozkazujemy, że kto z dzielnych wierności sobie nie dochowa, zacząć chwałę u ludzi w pogardę odmienni i odwróci się odeń najcierplivsza Łaska Boża.

Słuchajcie!.. Setnik Naszej straży grodzkiej, w służbie Nam i grodowi dzielnie wierny, samemu sobie zdrajca nędzny, wdarszys się nocą na Nasz zamek królewski, dziewicy Naszej dwornej rapt zadał, a dla onej sromoty zatajenia, rycerza Naszego komornego w zwadzie mieczem na zamku przybił. Zwiększa gniewu i kary miarę pohańbiona oręża dostojność. Nakazujemy tedy: gdziekolwiek on zbrodzeń będzie pojman, miecz nad nim łamać, zbroję i przyodziewek zedrzeć i w nagości stworzenia mistrzowi oddać. A ma być tak: — w przegierzu na rynku przez ludzi pohańbion, na kole łaman, po rąk odjęciu końmi na pal wwołczon, spalony ma być za żywa na zwykłym miejscu kaźni.

Niech Bóg ma w swojej pieczy cnotliwych mieszkańców dobrego grodu Naszego. Amen.“ —

Na wtórne Amen skołysały się tłumy w westchnieniach.

Wówczas herold przybił do muru kościoła pismo z pieczęcią uwisłą i przytwierdził nad niem czerwoną rękawicę króla.

Pośrodku opustoszałych sukiennic zwał się tymczasem ktoś na klęczki „Odpuść nam winy nasze!“ — jęknął w nim wraz z tym przypadem do ziemi. Ciemię wygolone, szyja po bary widna i białe sznur w trzy węzły oznaczały brata franciszkanina. Trędowaci, sploszeni trąby łoskotem, zbili się w okół niego w stado owiec.

Tuż za nimi, jakby w ziemię z przerażenia wrosły, stał rycerz sam.

Gdy nad głową jego przelatywało pobudką zawołanie królewskie, otrząsł z siebie natychmiast brzemień melancholii; sprężył się w sobie, samych mięśni nagle ubojowaniem, gotów wraz do porwania się na schwał — dla grodu i króla. Lecz gdy słowa herolda rozlegać się potem jęły, jakby błyskawica i grom razem rozdarły nad nim czeluście przerażeń. I oślepiły, zagłuszyły czelka odrętwieniem hańby.

„Tę zelżywość nikczemną o jakowejś tam dworze djabeł chyba spłodził, by króla łoże przed ludźmi osłonić! Za rapt dziewczynie zadany karze prawo zamknięciem w chlewie i karmieniem z wieprzami: — oto między jakie sromotniki domieszano mnie! Już mnie tam na rynku wystawiono pod przegierz, zanim zbiry pochwyćć zdołały.

„Daję tem miłość nawet moją na tak żałosne pośmiewisko wśród towarzyszy samych! Któż bo z rycerzy w pannie się kocha?! Ku czemu tu duszę przyłożyć? i o co? Gburów to najbardziej nieoświeconych afekty, mieszczan i żydów rzecz, łaścić się na mdłe miody dziewictwa. Najżałośniejszy tylko z ry-

cerzy, który żadnej mężatce spodobać się nie potrafił, przyłazsą się na ten koniec do panien. Kiedyż to żongler jaki romans o pannie opowiadał? lub opiewał ją trubadur jaki?... Więc i miecz mój nawet ośmieszyle, — że się w onej zwadzie na zamku podjął — o pannę, powiadają!

„Ale mojej prawdzie język i przed kaźnią już pono wydarto, bo wszak sama Pani to była, w osobie własnej! — Więc tylko wasza leż o tej dworze głosić się będzie, kabał dworskich stroiciele! Hańbę i pośmiewisko zgotowaliście mi i przed przegierzem samym! — Zasię mnie milczenie już pono pozostaje tylko — i pod mistrza łapą na kole.“

Na myśl o niem zimny pot wystąpił mu na czoło, za ciernie tej męki największej, — bo zawczas wyobrażanej. Przeżywał tedy marzył się każą swoją w najokrutniejszych dla się barwach szczegółów wszystkich. I to jest darem Muz. Poetą najokrutniejszych dla się boleśności staje się człek w godzinę ponurych przewidywań.

Więc choć wolny jeszcze, i tu w sukiennicach opodał mnicha stojący, już czuł się w łapach mistrza na zwykłym miejscu kaźni, — już kolec pala wbija mu się od tyłu w trzewia...

„Pacierz mój!“ — krzyknął przed nim jakoby wyszept żarliwy.

Mnich, klęczący opodał, wymachuje ku niemu w pośpiechu gwałtownym, ni ten człek z ładu, który, deskę tonącemu rzuciwszy, nawołuje znakami do chwywania się za nią. Alieć topielcowa wręcz groza w tamtych oczach udzieliła się wejrzeniem i zakonnikowi. Ukrył twarz w dłoniach:

„Jakże ty będziesz mógł, bracie mistrzu, to biedne ciało człeczce, przez Pana Boga stworzone...?? O, nie mogę pomyśleć!.. Oo! zmiłowania, łaski dla brata zbrodniarza!..“

A ta groza wejrzenia pociągała jakby niesamowicie jego oczy, bo raz po raz wycierał z pod dłoni, na tem większe za każdym razem otrząsy. Nagle zerwie się z kolan, pochwyć obie ręce rycerza i do piersi je sobie przyciska: z piersi w pierś człeczka powiedzieć coś pragnie.

I splonął brat temi słowy:

„Nie mocen jestem wziąć na się twej męki na zwykłym miejscu kaźni, — ale duszę twą piekła-wydrzeć mogę, by bodaj w czyscu nie traciła nadziei... Gdy ci czasu na pokutę nie dano, gdy dla twej duszy już tylko piekiel beznadzieja, — przerzuc, bracie zbrodniu, grzech twój śmiertelny na moje barki zakonnika, w żarliwość moich paciery! w moje serce mnisze!..“

Węgiel rozżarzony chyba podał mu w usta rycerz w gwałtownym pocałunku warg swoich.

Bo żar jakowś warem krwi rycerskiej rozlewał się wraz począł mnichowi po żylach.

Więc miał się czempredzej pacierzy.

Ludzie z rynku nagarnęli się było tymczasem do sukiennic; wśród nich wielu panów, coś groźnie pomrukujących na króla. Z korzennego kramu wyskoczą nagle dwaj rycerze z białą chustą maura jak z żaglem w rękach. I w jednej chwili ta chusta znalazła się na skazanym, zatulając i głowę jego. Postacią maura uprowadzają go ze sobą ci ratownicy. Familia to śnać była, bo świadcząc mu tę pomoc w ostatnim docisku losu, czyni to jednak z uragowiskiem, — jak to w rodzinie.

„Panny mu się zachciało!. Ojcowiznę całą przepaskudził na te Muzy i żonglery, na włóczęgi tęskliwe, na błędne rycerstwo i graalowe szukanie... Wszystkich królów ziemi na to zjeździł, by się złakomić nakoniec na fartuszek i wianuszek grodzki... Panny! — (już i kulak niejednego familianta wbija mu tę wymówkę pod żebro). — Żenić może się chciałeś? I samś poszedł sobie za swata nocą do jej alkierza? Miodu w woszczynie jeszcze rozmazistej, a i z pszczołami do pyska, — zachciało się niedźwiedziowi!. A teraz tylko srom i hańba familii całej... Ruszaj, ruszaj że się przedziej, by cię ni gród, ni ziemia więcej nie oglądały!“

Z twardym zaciskiem szczęk i bledszy od tej chusty ratowniczej stąpił rycerz pod wymówkami familii. Nie wyda tajemnicy swej pani. —

Mnich tem żarliwiej się modlił, że on nagły war w żylach jął mu zapalać i w duszy dziwne obrazy, a mącić niemi pacierze. Na słowach „odpuść nam...“ zatrzymały mu się myśli i rozłożyły ramiona przed kramami:

„Odpustową to wszak porą wabią z kramów i po piekarniach wszystkie ponęty świeckie?!. Prawdziwie mówię, Boże, nie wódź! nie wódź! nie wódź nas na pokuszenie przez kupce i żonglery!..“

Niebawem tłum kobiet zebrał się nad nim i zachwycił cudownym darem łez u brata. Nie dały mu spokoju niewiasty: podjęły z kolan i nuże głaszać po rękawach, by z onego daru przemówił do nich. Darownie się mnich wypraszał, lichotą słowa franciszkańskiego zaślaniał, do wymowniejszych dominikanów odsyłał; przemogły jak zazwyczaj kobiet upór i ciękawość. I zniewoliły brata.

Podjął powieki ciężkie, wyjrzał ku nim jakby z omotu cisy klasztornej. A te oczy smutkiem nasyłając, ta bezradność młoda w wejrzeniu tej twarzy na gołej szyi franciszkanina, — któremu i ta szyja owo sama wyciągała się jakby z cisy wszystkich ku życiu, — ten smęt, ta żalność, te ciężkie od rojeń rzęsy dziwnym wyrzutem spoglądały na kobiety. Aż się marnotnie

uczyniło im wszystkim. A on kiwa nad niemi głową, wymawia im coś z serca, natrzasa się nad niemi gorzkością milczenia swego. Wreszcie dobył z piersi wyrzut takiego żalu, że się pod tym głosem samym otrząsała niejedna kobieta, zatulając mocniej w swą chustę.

„A stworzył was przecie Pan Bóg ku uzacnieniu miłością rodzaju ludzkiego!.. Ku temu łaską Bożą stworzone, czemuście się stały rodzajowi ludzkiemu?!...“

Westchną chórem sapliwym.

A po długiej znów cisy, postrzegając, że franciskanim niewymowny nic już im dzisiaj więcej nie powie, westchną tem głębiej na amen. Najmłodsza zasię z nich, jeszcze dziecko prawie, już widzieć poczyną w myślach męki rycerza na kole; a błądność zgola niedobra, na wargach sina, muła wątle siły dziewczęce. I wybuchła nagle płaczem dziewczyna taka. Za nią inne. A i starsze kobiety poderwały nagle fartuchy do oczu.

Spłynął dar łez z pokutnego brata na wszystkie kobiety. Proszaj, by je wiodł przodem w kościoła progi, kędy wyzywał dzwon.

Za tym zapłakany korowodem ruszyły chmarą sukiennice całej.

Po obwieszczeniu królewskiego wyroku coraz to bardziej ponure tchnięcie krążyć jęło po mieście w powolnem przycichaniu targów. Kupować nikt nie chciał towarów, bajaniom kupców wszyscy nagle wierzyć przestali, najbardziej pstre kramy już nie pociągały. Pustkami stanęły sukiennice. Wraz z ciężkimi dymami przedwieczera osmętnica zasnuwała domy; ludzie przed bramami dziwne opowiadali sobie rzeczy, — jak to z wieczora. Niedobra rzecz wróżyć się miastu, które dzielnego strażnika i obrońcę swego hańbić ma na rynku. Bardzo rzecz się wróży niedobra! Rzekniesz, na odpust dzisiejszy przyszedł ze świata arcysędziwiec on siwobrody, zły wróżb roznosić, a klęsk tajemniczy zwiastun: Kartafilus sam, — żyd wieczny tułacz. Trafiali się i tacy w zaszeptanych gromadach, którzy już go spotykali po zaułkach.

Wszelaki bō naród z za murów ściągnął na odpust dzisiejszy.

Który zaś z grodzian, natury pogodniejszej, i smoka nadzieją zwalczał, ten powiadał, że nie wiadomo, na co się wyrok królewski obróci, że na gniew króla jest gniew inny, rycerski, — trzymają ze sobą pany. A obcych rycerzy, których nikt nie zna, pełno dziś w mieście.

Tu się namieszały gawędy, pewnie z piekarni rodem, i poszły słuchem między ludzi ciemnych, którzy

nigdy romansu nie słyszeli w życiu. Nie każda bo z kobiet i powieść nawet zrozumie, choć wszystkie o niej gęsto rozprawiać zwykłe. Tedy jedne opowiedziały coś drugim, inne coś do tego zmyśliły, tamte znów zaniepokoiły się bardzo, bowiem rzecz całą uślyszaly o zmroku, w ciemnym gdzieś kącie izby... I tak oto zrodziła się plotka: że na odpuszcie dzisiejszym bawią, nikomu nie znani, — Lancelot najwaleczniejszy i Parsifal sami..

„Coś tu dziś będzie... Coś się w mieście stanie...” — szeptano do się na rogach ulic.

Zamożnością ustataczeni mieszczanie, wiadomo, nigdy niczemu nie wierzą, — osobiwie, by coś jutro miało być inaczej, niż było wczoraj. Ich gniewały tylko gawędy gołoty wszelkiej. A nadewszystko to ich tłoczenie się teraz oto za mnichem i nawoływanie do się miasta całego. Więc po długich odymaniach się, ledwie na zamknięcie pochodu, przylączyć się raczyli do procesyi, wszczętej bez księży i chorągwi, a nadewszystko tak bez ładu i poszanowania miejscich godności. —

Oto w szerokich swych strojach, pobożnie, pod czarnymi raftuchy stąpają matrony. Rozchwiane kaczym krokiem powagi, prawią między sobą o wyroku królewskim, kokoszą się cnotą i rezonem, temu osobiwie rade, że przysmała mistrz będzie djabelskiego syna, jak tę kiełbasę na patyku!

Za matronami postępują młode niewiasty: odświętnie, w jupkach haniastych i tak suto pod piersią wypiętych, że się każda jak brzemienne zdała. Te, paluszki, ledwie wychylone z rękawów ciasnych, splatając na onej faldzie szaty, kroczą sztywno, układnie i szeptują się między sobą o skazanym rycerzu w smęcie i wzgardliwości zarazem:

„I patrzcież: gdzie się przypyta!.. Za jabłka świeże w grodzie jaki orzech suchy na zamku wola!.. Wiadomo, jadu pełne są te stare skorupy cnoty. Powiadała, że panną chce zostać! — dla nieświętości stanu małżeńskiego, mówiła! — A przecie aż dwóch przylasiła ku sobie! — aby się tam zabijali pod jej progiem... Ludzie wy dobrzy, oczami-ż oni panowie na nią, suchą wierzbę, patrzyli, — czy czem?!”

Za córami kroczą ojcowie: osoby znaczne o twarzach nosatych, jak te stare kruki, — z włosom tłusto zaczesanym na szyje: głowy krukowego przetrwania wszelakiej doli miejskiej. Posuwają się ciężko pod sobolowemi szubami, futrzane czapy w rękach niosą, splatając na nich upierścienione palce. Idą, rzekniesz, nie do kościoła, lecz na ławy radzieckie, na roków sprawowanie, bo przystają raz po raz w rozprawach — brzuchami do się. Radzą, — by któremu z rycerzy dać na zratowanie setnika, ile zechce; niech go sobie w klasztorze jakim przechowają tymczasem, póki

prawo nazbyt świeże i parzy za dotknięciem. Gdy prawo niecd wystygnie, będzie można setnika wyprowadzić jakoś z grodu. Gdyby zaś nie chciał opuszczać miasta, z tęsknoty ku tej dziewczce zgwałconej na zamku, to mu się ją wyśle, kędy zechce, — i do klasztoru nawet. Groszem wszystko zrobi w sekrecie, — nie trzeba wcale gwałcić po nocy.

Tak postanowili na rozum mieszczański, radzi, po swojemu, spłacać z pełnego trzosa on dług wdzięczności, który wstydlowi cięży.

Bo jakby plecy im lechtały te zszepetywania się młodzieży tuż z nimi. Gromadą ciągnie, młódz grodzka, wzdęta piersią w swych sajanach czerwonych i zadziorna kitami u czap. Nazbyt bo już hardo wystawia się dziś młodzież temi kity! Oto pohukuje nawet w tłumie na cześć skazanego rycerza, — nie by sami zamierzali zratować jego, lecz by innych do tego podjudzić: — Znaj młodzież! i króla przestraszy, a choćby ojców własnych tylko. — Więc pohukuje wciąż.

„Milczcie!..” — czerwienieją ojcowie z gniewu i lęku.

I wznoszą do góry paluchy.

Baczą na nich rycerze z procesyi. I pojęli rychło, że do sumień własnych było raczej pobożnemu sobkostwu mieszczan, — starych i młodych, — niżli prawdziwie do zratowania wiernego strażnika grodu.

Goliard tymczasem przebiegał gorączkowo opustoszałe ulice. Trędowaci rozdzielili go było z rycerzem w sukienicach, odniosły w dal łoki ludzkie; stracił go wreszcie całkiem z oczu. Z początku nie kwapił się odszukiwać go. Nie przyrósł mu do serca ten żonglerowego ducha plód i tęskliwy wynawca Muz — nie w duchu, lecz w sentymentach i porywach ekspiacyjnych — za familii pożyczką. „I chuci i ducha tklawiec szlachetny! — myślał o nim z grymasem. — Z Esclavonii może jakiej przybyli tu ojcowie jego: z wschodnich gdzie stron, skąd i „Dobrzy-ludzie”: te tklawe kacerze dziadowskie, rozwałęcane po gościńcach świata całego.”

Ale gdy groza królewskiego wyroku, stentorem heroldowego basu, zahuczała goliardowi w uszach, odmieniły w nim się nagle uczucia dla rycerza; — Życie mu wazak ten człowiek zratował? Gołą piersią osłonił go wszak przed podrażnionych rycerzy furią? A przemowę goliarda do nich z zapalem w piersi wziął. Zaś ten zapal dla słów poety otrzymaną raną z miejsca mu zaświadczył! I tyle ufności z pierwszego słowa mu okazał: niedolę serca swego mu opowiedział: piersi mu swe otworzył. I za przyjaciela mieć go wraz chciał. A coś z sumienia głosu miał i dla goliarda wzamian ten przyjaciel nagły, gdy mu o lichy

wierze i lichej dumie poetów powiadał — z tem wnikliwym ciepłem głosu, z jakim i tamte dziady, oni „Dobrzy-ludzie”, przemawiają pono po gościach. — I to wejrzenie ciche, gołębie, tego wielkiego chłopala.

Jakiegokolwiek byłoby nasze mniemanie o kim, w obliczu śmierci jego, lub jej pogrozy, zwracamy doń w myślach oblicze ducha i, odrzucając w pamięci wszystkie pospolicitości czleka, streszczamy go sobie już tylko w odrębnościach jego, jakby Epitaphium dlań sposobiąc w sumieniu naszem. — Tak też czynił i goliard w tej chwili, mówiąc do się w duchu:

„Rycerz to błędny jednak był: romansów umiłowany bohater! niby Heracles jaki, — nie z siły, lecz z serca, — który, wyruszywszy na szukanie jabłek Hesperid, a źródeł Nektaru i Ambrozyi, dokonał siedmiu czynów — nie mocy, lecz szlachetności przygodnej — nie wiadomo po co i na co! by zginąć niewiadomo za co!.. Rycerz to błędny jednak był: romantyczności tęskliwiec! ostatni już pono i z przeżytków nawet, prawnuczy już chyba pogrobowiec tych żywych kamieni po grobach kościołów, — duchem zapóźniony slawonusi!..”

Tak myślał goliard, z coraz to większym niepokojem przebiegając ulicę. „Czyby już pojman był?” — szeptał do się w trwodze. Więc raz jeszcze przeszedł sukiennice, zaglądając nawet do kramów, bez końca rynek na wsze strony przebiegał, — aż mu to obrzydziły dwa gbury jakoweś, nazbyt już często ukazujące się w pobliżu jego. I z coraz to jawniejszym popłochem w oczach snuł się po przyrynkach, błąkał po wszystkich zapiecach i zakamarkach tych murów; aż wreszcie z biegiem cuchnącego ścieku zanurzył się w jakiś zaułek, ni to w piwnice: —

Czarne prawie ściany, nie ulicy a lochu, zbliżone do się na rozpostarcie ramion, wiodą go wprost pod okna jakoweś i, ciemną jak grób jamą, wyprowadzają, ni to na placyk tej uliczki, na kamienną cembrowinę studni pod gankiem, z którego sypią się w tej chwili jak gruszkii szczury spłoszone. Dalej w ponurości tych murów nad ściekiem już tylko te okienka nędzarne: ziejące paszeczki trądu i czarnego powietrza. Na ludzi lepiej tu nie patrzeć. Nie twarze mają, a saraceńskie chyba mordy pomsty, ślinę żmij w pyskach, a w ślepiach wszystkie klątwy i urzeczenia na kalectwo lub śmierć nagłą. Ledwieś się z widoku tych potworów nędzy otrząsnął, a błysnie na cię białkami i wyszczerzy się kłem w gębie jedynym jaka jęzda u bramy, prosząca do swego zamtuza — na lubość ze śmiercią kościaną chyba, przepasaną w biodrach czerwoną szmatą zbrodni. Bo krwią mordu zanosi tu z każdej bramy, a wszystkich czarów i trucizn tajemnice wychytrzają się z oczu „wiedźm starych.”

„Tu napewno nie tryskają źródła Nektaru i Ambrozyi, ani nie kwitną jabłonie Hesperid! — otrząsnął się goliard. — Więc mój rycerz błędny tu się chyba nie zabłąkał.”

Szczur odrazy wcisnął mu się za kołnierz. Ponurość nędzy grodzkiej spoglądała na waganta cyklopowem okiem przerażeń. Nadomiar one dwa gnuśniki, przechadzające się wprzód po rynku w tętem milczeniu gburów i tu się za nim przywlokły. Oto pęlgają u murów jak te dwa czołgi. Nawet oglądać się za nimi nie potrzebował; zęby same zgrzytnęły mu w ustach:

„Zbiry!..”

Wiadomo, — gdy waganat w mieście od gromady się odbije i luzem chodzi, snują się za nim zazwyczaj cienie takie; nie by mu co złego zrobić, lecz aby się wywieść tylko: dokąd też taki chadza? z kim się też widuje?... Dzisiaj zaś mogą mieć i inne jeszcze ku temu przyczyny.

Piekiel nienawiść zieję między waganami a zbierami. Nie masz bo większych przeciwieństw natury, nad ptaki wolne i szakale niewoli.

Oto zgubili go śnać z oczu w krętym zaułku, bo, przyspieszając kroków, już nie pęlgają chytrze, lecz stąpają twardo zdala. I cwanem przymrugiwaniem oczu witają w przechodniach... zbrodnie przyszłe.

„Widzieli mnie pewnie z rycerzem, — myśli tymczasem goliard. — I za moim śladem szukają teraz jego tropu.”

Dogonili go znów i mijają tym razem. A swem chytrym, przenikającym wejrzeniem witają jakby i w goliardzie zbrodnie przyszłą.

Na to wejrzenie szakali krew uderzyła mu nagle do głowy.

Z buta, czy z pod płaszcza, — nie rozróżnisz w ruchu gwałtownym, — wytargnął goliard wagancki nóż składany. Otworzył go z chrzęstem twardego zatrzasku. I chustą okutał rękojeść wraz z kułakiem, by mocniej nóż osadzić w tronie i garści.

Dziki ryś woli i swobody rozdał nagle nozdrza w krwawym zaułku grodu, — jawny już nienawistnik społeczności grodzkiej.

Lecz oni mijają go z chmurną pewnością siebie, która zdala się powiadać: „przyjdzie i na cię pora!..” A odchodząc, zagadali nagle do siebie te gnuśniki oba: — o skoczce coś tam prawią między sobą.

I stąpieniem wołów oddalają się powoli — stróża mienia i spokoju mieszczan.

Lecz oto czoło procesyi zbliża się tymczasem do świątyni, w całości jeszcze nie widnej, tembardziej odczutej, bo w przedwieczornem słońcu kładł się na ten

kawał miasta głęboki cień tumu. Nad czerwień dachów, nad wielkie ich skosy i załamania beładne, — nad cały ten chaos ludzkiego mrowiska, — wychylały się gór spokojem obie wieże kościelne.

Za iglice podniebne, między obłoków przeloty, wypiętrzyć je chciała zuchwałość murarza. Alić króla wola ułamała je w połowie, wieńcząc ich rozłomy w dwie korony olbrzymie, aby tem straszniejszą zdała się wysokość tych wpół przełamanych iglic, sterczących nad grodem za dwie góry wieżate z koroną u wyniosłych czoł, — aby przypominały ludziom słowa Pisma, że Bóg jest wysoki, straszny, król wielki nade wszystką ziemię!

Uczępiły się tych gór słupy strzeliste i piętrzą się ostremi łukami jak na monstrancjach: wzwyz i wzwyz. Zaż one z głazu wstęgi ustrzępione, niczem kwiatnych umajeń łuki, te słupy bruzdkowane, jakby wód ociekających zastygłością, czoła onych kolumn pod fontanny tryszczem skamieniałym: wszystko to zda się jakby tryumfalnem umaniem Bożego domu.

Zaż to rozkwiecień i głazów nawet samych pod kształtującą dłonią czleczą rozpajęcza się w oczach, rozdymia górą w szarosrebrzystą omgłę ciosu, w rośistość ożyłego głazu: — w niedokształceń twórczych mgławicę, wstępującą na wyże kościoła, jak ta rosa Heron na Syon.

Wynurzają się z niej tryumfem dnia szóstego postaci w kamieniu czleczce. Pełno ich wszędzie. Po mrokach błędnych gdzieś ganków na wysokościach, po węglach i graniach hen, na tej górze muru, po zrębach i okopach dziwnie rojnych, — wszędy tłoczą się kamienie żywe. Że zaś ich kształtu i świętości znaku nie dojrzeć pod rozblaski zachodu, więc zda się, że po tych Jakubowych drabinach dziewięć chorów anielskich wstępuje na kościoła szczyty z tem „Hozanna!“ budowców i kamieniarzy tumu, — jako to Bóg jest wysoki, straszny, król wielki nade wszystką ziemię!...

Za trąb anielskich rozśpiewy, śpizów dzwony głoszą to w tej chwili z wież tych obu.

I wydzwoniły jakby nietoperza z kryjówek wieżowych. Nad zbocz krawędzi najniższego okapu, wprost pod lunę zorzy, wychynał się żywym kamieniem jaszczurczy kadłub i chichotliwy dziób przerazy.

Bo jawnie chichocze niemym dziobem swoim to kruczysko sabatów. Ucieszył się śnać w piekle szatan grodu z tych mieszczan pychy odętej, z jaką zbliżają się oto pod ten dom Boży, który za Boga wolą zdziałał geniusz czleczy — duszą i dłonią waganów.

Gdy ojcowie miasta przed ołtarze pańskie wystąpić raczą, waganom wszelkim w kruchcie jeno, w przedsienu kościoła wolno się przygarnąć do murów świętych, — z familią ich całą goliardową, — aby ład i porządek w społeczności był. —

Lecz oto już na schody się mają przodowni procesyi pstrą gromadą pokurczów kalekich, żebraków i bab conajstarszych: — ludu zawsze co najniecierpliwszego w kościoła progi.

Mnogie rzesze grodzian ściągały tymczasem zewsząd ku świątyni.

I sędziwce ślepe, poniecane dziś po izbach domów, wynurzają się oto z bram jak te widma czasów siwobrode; wyciągają za procesją ramiona wyschłe na kość, proszą bełkotem, by ich kto miłośnierny zawiódł do kościoła: — sam Bóg za te przewody zapłacił — Za nimi ich prawnuczęta chyba, maleństwa bose i w giezleczkach jeno, wyblakały się oto z izb na ulicę z wielkim lamentem dzieci, że ich na procesję nie poniosły matki w ramionach. A rozmachawszy rączki, maszerują na piechotę te stadka płaczliwe, podrywają się biegiem z rozżaleniem jeszcze większem; — polatują do kościoła gołąbki te białe.

Gdzieniegdzie wynoszą rodziny swych ciężko chorych wraz z łóżem, by chociaż raz do roku wysłuchali mszy świętej. Żebractwo, przez tych chorych szczerze osypane groszem, raduje się przy ich łóżach: skacze, tańczy, a klaska. I śpiewa, rzekniesz, chórem:

„Wszyscy klaskajcie rękoma! wykrzykujcie Boga imieniem wesela!“

Zgoła, miasto całe, zamienione odświętnie w waganów familie radosną, w weselnych pątników rzeszę: — takie jest dla duszy figmentum zbożnego stłumienia się procesyi. ✕

Już czeka na nich korab' dusz, już się kolebie na cichych wodach przystani, już się chwieje, 'baczl masztami dwoma w rej i żagłów swych gęstwinie. Rychło poderwie kotwicę i wypłynie — za morze! — ku Ziemi Świętej! — ku Kalwaryi samej! W tej Arce jest dosyć miejsca dla wszystkich ludzi z grodu.

Obiecuje to kamień żywy na wrotach kościoła.

Za dobrym bratem najbardziej pogardzanej lichoty grodzkiej, — za franciszkaninem, wiodącym procesję, — jak te klucze za zórawiem, dogarniali się ludzie z zaulków — tłumem, motłochem, cizbą...

W otrząsie zaniepokojonych sumień zamykali kupcy czempredzej swe kramy.

Szumem ludu, jak wielkimi wody, wypełniły się ulice.

Dom Boga i ludu, który gwałtem i zdzierstwem możliwych tak hardo się przeciwi, ludu zamek w grodzie, sporny zamkom panów, wzywa oto teraz i wzywa przynaglaniem dzwonów. Więc poąpieszają rzesze wszystkie. I zda się, że oto ludu świąteczną nadzieją rozdzwaniają się w tej chwili dzwony:

„Potargane będą pęta zniewolenia mego!... Żyć będę duszą moją.“

Mury grodu ogarniają jak gdyby życia i świata krańce w sąsiedzkim przytuleniu. Nie mógł się temu nadziwić goliard, gdy, wyblakawszy się z krętego zaułka, wstąpił niebawem, niczem na płyty zamkowego podwórza, na śliskie głązy ulicy złotników i płatnerzy, górą omal że nie zamkniętej sutemi okapami kamienic. Więc mrocznie i tu było, ale jak w kościele: rzekniesz, dla zciszzenia zgiełków, a myśli skupienia.

Powaga i stateczność tej ulicy ustateczniły wnet i goliarda. Schował nóż, poprawił czempredziej płaszcz i kaptura, by w onym tu dostatku nie czynić sobą osoby nazbyt lichej.

Wychylają się z ónych domostw na śróddroże wykusz dumne, migocąc błyskami szyb w ołowiu. Dołem zaś, dla obwieszczenia zasobności kuźnic po tych wnętrzach, wystawiono w wrót niejednych kolczug lub karacnę świeżo zdziałaną, miecz zaledwie ukuty, lub tarczę spiżowymi ozdobami wypukłą.

Przy jednej takiej zbroi zatrzymał się mimowoli. Prostsza ona o wiele od innych, dawnego obyczaju surowością. Koncerz jej oburęczny zda się nad miarę sił ludzkich: szukaj ramion i chłopca na zamachnięcie się takim toporzykiem obusiecznem! Pawęż, za którą i konny by się ukrył, — czarna, w srebrne ćwieki. Kolczuga, z grubych pierścieni skuta, ma w sobie głucho, żagwiśtą czerwoność miedzi, czy rdzy. Ujrzyj takiego zdala na koniu, a wyda ci się jak w żarzy świętego Jerzego.

Zrazu nie zdawał sobie goliard sprawy, co właściwie przykuwa mu oczy do tych narzędzi rycerskiego utrudzenia, których, na wspak żonglerom, na ogół nie lubił, odnosząc się do nich z wzgardliwą niedbałością klerka. — Nagle:

„Czerwona zbroja?!..“ — błysnie mu w pamięci. — „Toż to Parsifalowej kolczugi barwa! — jak o tem wszyscy opowiadają żonglerzy... Czyżby ten płatnerz taki rozmaszysty człek był, że dla okazania, co kuźnia jego zdziałać zdolna, ukuł oto jakby Parsifala samego zbroję, — nikomu z żywych na pożytek, — lecz ot: na pokaz tylko i na pochwałę w ratuszu?“

„Czołem biję! — kłaniał się goliard przed pustym progiem jego domu. — Poesim czynisz młotem — bezkorzystną! — Alć dzieło twoje daremnie na ulicę wystawiasz: miną gapie — niezrozumieniem. I nie pochwalą cię na ratuszu. To-ć wróżę, brat twój wędrowny. Bywaj!“

Tuż nad głową jego otwarło się z trzaskiem okienko wykusza.

„Witaj, goliardzie! Niech ci Bóg da długie zdrowie za to wszystko, coś nagadał rycerzom na rynku. Właśnie spełniam to zdrowie twoje w medy-

tacy nad winem. Więc pośpieszaj czempredziej do mnie, na górę, bo samemu cni się przy dzbanie... Baby żadnej u mnie w domu niema, — więc się nie bój!“

Widzi goliard: — leży broda siwa na skórzanym fartuchu, po pas sięga. Przy niej ramiona jak z porósł, po za łokieć, jak u rzeźnika, — gołe. I gęba w ogniu cała.

„Vulcanus, widzę, prosi! Niechże się na mnie nie pogniewa boski kowal oręza, — ale kościół, ale nieszpory!..“

Tem się goliard tłómaczył, by nie mówić o sprawie rycerza, która mu z ulic zejść nie pozwala, a beztroski przy czarce żadną miarą doznać teraz nie pozwoli. — „Ale kościół, ale nieszpory!..“

„Kłaniaj się kanonikowi i dobrodzielcy!“ — warknie bas nad jego głową. I gniewnie zatrasnęło się okienko wykusza.

„Oho, kacerz!..“ — roześmiał się goliard i nad konceptem jego i nad swoim wraz domysłem.

Lecz po chwili kiwał smętnie głową:

„Że baby w twym domu niema, temu chętnie wierzę: żadna żonka nie pozwoliłaby na utrudzanie się tak bezkorzystne. Ale kacerstwo?.. Hm! — Będziesz ty starcze gasił potężne, widzę, ognie w kuźnicy twojej!“

A postać jego kojarzyć mu się jęła w myślach w jednego ducha wyraz.

I on nalog rozmyślań osępił mu wnet oblicze pod klerka kapuza.

„Czemże ten Parsifal tak nieugięty w dążeniach swych był?.. Owó że tych ramion i goleni potężnych nie czepiała się w życiu jego żadna kochanka, ani żonka, ani bachorki: — że jednym i dla tego jednego tylko żył! że oną zaciekłość dożywością dawnych bohaterów znał! że zęby w sercu miał, — jak Peredur, jak Cormon-Pies!..“

I aż zacisnęły się mimowoli oba kułaki goliarda. A zaduma szeptała mu dalej pod kaptur:

„Czemże tak żyw i potężny w sumieniach naszych Parsifal ten, — choć Graala przecie niema?“

I odpowiedział jej duch sam z skupienia swego: „Bo nie ustawał w szukaniu szukaniem!“

A sumienie nastąpi na ducha z miejsca, w mig, — jakby krzyżowym przerzutem miecza. Nie osłonią od tego ciosu pawęż żadne:

„A ty?!..“

Chciał było goliard wymknąć się westchnieniu temu, które tak ciężko podnosiło mu pierś. Spręta grzbiet, rozciąga ramiona... Alć pierś czleczca, ni ten miech w kuźnicy ducha, nie oprze się mocnemu naskikowi sumienia. Opadła. I dobyło się z niej jakby to żywe i twórcze tchnienie Bożego ducha, zmarnowanego w ciele jego czleczem — (nie jednoż to: czy

dla kochanki, żony, dzieci lub chudoby?) — westchnienie najboleśniejsze, jakie człek znieść zdoła.

Pokonała go sromotnie Parsifalowa zbroja sama, wywieszona u bramy platnerza.

Ale i w turniejowym potkaniu, im przeciwnik znamienitszy, tem mniej dopuści, aby powalonemu smutek pogniębieniem się stał, — pod ramię zwykł go tedy prowadzić dzień cały. — Tak się dziwnie zdało goliardowi, że ramię jakieś przemocne podwiodło go siłą przed złotniczą komorę i roztargnieniem oczu ratować mu się każe od nadniernego przygnębienia myśli.

W wnęce muru za kratami widniały garbate szkatuły misternie w żelazie kute, — krzyżmały i cyborya o surowem tchnieniu wiele pobożnej pracy, — palec szczerosrebrny z pierścieniem biskupa, — klucz srogi, rzekniesz Piotrowy, bo o takiej mocy wejścia, — jakieś skrzynki i puzdra z niewidną pieczęcią tajemnicy, — w kości słoniowej cięte stacje Męki na ołtarzyki kłęcznikowe, — miedziane krucyfiksy barwione polewą, czarki z opalu w obrzeżach złotych, — roztruhany królewskie rzezane w kryształach, — białe rolandy łowieckie, w których drzemiały hejnały, — wreszcie w ogniu kamieni szlachetnych monstrancje złociste, spiętrzone kunsztownie, ku przechowaniu świętych kosteczek męczenników Pańskich.

Nigdy, jako żyw, nie widział wagant takiej obfitości skarbów!.. Zaś te cuda, jak z baśni, tuż obok onej zbroi w żarzy świętego Jerzego i miecza przeogromnionego nad moc czleczą, — stumaniały go całkiem. Zdało mu się, że, wstąpiwszy na śliskie tu głązy, pod wielkie okapy tych kamienic, wkroczył niby w magów pieczarę, kędy po kuźnicach kowale uparte wykuwają w utrudzeniu bezkorzystnem świat wyższej mocy i piękności!..

Oczy poety — cudowidze i bez skarbów — nie dostrzegają już wcale ani tych głązów wymoszczenia pod stopą, ani tych okapów ciężarnych nad głową; zatarły się przed niemi i mury miasta: świat cały i zmierzchnął i przeświecił się zarazem w jakowyś omrok sino-perlisty. Tęczy kołem zawisa w nim otocza glorię z ogniowych bełtów i tęczowego wiru płomieni!.. I wyświećta się w niej cicha, barankową bielą — Graala czara.

Kacierz śnać zbroję czarnoksięską zdziałał, która — i bez bohatera ramion a piersi — pokonała goliarda podwakoć Parsifalowego ducha tchnieniem.

Jak nieprzytomny wytaczał się z ulicy złotników i platnerzy. Lecz u jej wylotu ocknął się nagle czuć wszystkich zczyszczeniem i kornością:

Ujrzał przed sobą katedry pierś wielkowspaniałą — w ogromie całym.

Maleńką czarną postacią zakapturzonego klerka widniał goliard na schodów jasnym rozłogu, pod wielkiem okiem kościoła: — pod różycą tumbu w purpurę i fioletość przyćmieniu.

Sam tu był, sam jeden w nikłości postaci swojej. Gród cały nabił się już było do wnętrza tej Arki; brzęczy w niej jak w ulu lud wszystkich.

I zdało się klerkowi, któremu nawet wiary wyraz maciły Muzy pogańskie, że niebawem, pod gęste dzwonki ministrantów, gdy się lud cały pokotem pochyli, hukną organy same na Podniesienie:

„Oto wieczyste źródło Nektaru i Ambrozji! Oto jabłoń najplodniejsza z ogrodu Hery! Oto Graala czara z Kalwaryi Monsalwatu! — I kędyż, kędyż wam, szaleńcze, szukać jej jeszcze po świecie?!”

Ale kościół swoje, niespokojny duch czleczy swoje. I wiecznie pono szukać będzie po bezkresach cudotwórczej mocy jakowejś — na starcie smutków z oblicza ziemi, na odnowienie serc wszystkich!

Oto na samych dźwierzach kościoła, — odkryły to już żaki, — kędy w gęstym szeregu czwórlistków spizowych, widnieją opowieści wszystkich kłesk rodzaju ludzkiego, od wygnania z raju począwszy, i ratunków wiary, — oto w ostatniego listka ramie widać konia długiego jak lasica, a na nim rycerzy dwóch z wzniesionemi jak na tryumf mieczami. Nikt inny to, jeno Parsifal i Lancelot, wyruszający na graalowe szukanie.

I na wrota kościoła nawet, postaciami ze śpiżu, wtargnęły żongliery opowieści duchy.

Ogrotna wpuklina na piersiach katedry, ni to na sercu jej samem, chłonie, rzekniesz, ku otwartym wrotom wnętrza.

U murów tej wnęki widnieją wniebowzięciem smukłe szeregi pań świętych i błogosławionych królów. Stoją te stróżki kościoła, Bożego domu gospodynie, pod ustrzępionymi baldaszkami z kamieni, na pogniębionych grzbietach jakowychś pokurczów czlecznych.

Nie grzechów przeraży zdziałać tu chciała ręka mistrza, lecz przyziemności natury czleczej wedle Pisma. Oto, z gębą jadła pełną, a czapą w garści, wychylają swe grzbiety, tłuszczy ziemscy, którzy jedzą i kłaniają się; oto, w swarliwej zajadłości ku sobie grzbietami wychyleni, radcy grodu czy też króla, usiłowani w radach, które wymyślają; oto z trzosem u serca i z czoł oziębłością, „którzy majątności nabywszy i serce do niej przyłożyli”; oto, z bazyliżkowem wydućciem warg, żydów cmokająca przedrwiną; oto wreszcie, z twarzą zgola niewidną, „którzy brzuchem do ziemi przyylgli”...

A wszystkich on lud, wychylający się grzbietami z pod stóp świętych, zdał się w tej chwili natrzęść nad głowami igrców, stojących tuż obok w kruchcie, —

że owo wszystkie fortuny dary, a podczas i szczęście nawet samo, oddają n i z a c o, bo za onó waganctwo goliardowe, — a niejeden z nich, bywa, jedynie za to niustawanie w szukaniu szukaniem.

I tem urągowskiem swoim zdają się obiecywać, iż „wejrzeniem złoŹników wypatrywać ich będą, aby ich umorzyć, głupiemu na pośmiej dać.”

Goliardowa familia tymczasem, wśród żebraków w przedsieni, gdzie przykleknąć jej było wolno, zwraca ku sobie ze wszystkich naw wejrzenia ciekawe. Ale o ciekawość ludzką tym razem nie stoją waganty wcale, bowiem już teraz, przed nabożeństwem nawet, odmawiają pilnie koronki. A spostrzegłszy samego goliarda przed drzwiami, poczną sykać zgło nieprzystojnie, z wielkiem tłoczeniem się owiec czyniąc miejsce między sobą dla błędnego pasterza swego.

On zaś baczy tylko, czy skoczki między nimi niema. A nie dostrzegłszy jej, odmachnie się ręką w ich stronę: — ostawajcie samil

Bo w takiej chwili najuroczystszej, kiedy cała społeczność czleczła stałe oto przed Bogiem, widok swych towarzyszy wśród żebraków napelnił go taką żalością do Boga za kamratów i za się, że już tylko wargi gryzł i odmachiwał się ręką od ich sykań natarczywych. — Duchem tych mieszczan w trosce o spokój i mienie, oplwał go ktoś wejrzeniem w potwornym zaułku nędzy. Tyle bo tylko zarobił wędrowny poeta w w tem mieście.

„Jestl...” — drgnęła w nim mimo wszystko jakowaś tajona czujność i oczekiwanie.

Jak ten jeleń z gąszczy ku strudze wychynęła się z ulicy na plac skoczka zapóźniona. I bierze w chrapki bliskie tchnienie tłumów.

Jakby wyzywając te ciężkie w swych strojach mieszczki, które podejmowały się tędy przed chwilą,

wbiega chybko na schody kościoła stopą bosą, a z pierśią otwartą, — ledwie u wrót samych przysłania je chustą przed zgorzeniem pobożnych.

Za rytmem kroków dziewczyny, jak za werblem na przedzie, wkracza szparko młódź rycerska cała.

I wielki rumor panów powstaje w kościele.

Goliard przypadł nagle ustami do stóp świętych jednej z onych postaci we wnęce dzwierzowej. Przysłania się płaszczem i kapturem, by nie widziano, co się z nim w tej chwili dzieje; ani że mu coś raz po raz głowę podrzuca na długie zapatrzenia się w tamto lico pod baldaszkim z kamienia. Ujrzał bowiem w jej oczach cichych Bożego miłosierdzia mnóstwo wielkie...

Tu pod murem srogo dudniło powietrze od potracąn spiżu, jakby od rozorganiań się onych chórów anielskich na wieżycach obu. A co jedna wieża swym basem wyhuczy, druga wyższą nutą wraz podejmie i rozgłasza, rozdzwiania:

Kędyż wam?.. Kędyż wam?.. — w wielką ciszę grodu dzwon bije fary na roki sumienia.

Kędyż-bo?.. Kędyż-bo?.. — wtórzy druga wieża — sumień są roki, serc waszych sędzie?

Kędyż Odpustu znajdziesz orędzie? —

Kędyż się zgarną czleczce wszechcierpienia?...

I wybiegło to dzwonne zalkanie hen, za mury grodzkie, na pagórków cisze, nad lasów ciemne morza w dali, — nad waganłów wolne po świetnie drogi. — I rozprasza się w jasnej toni przedwieczcza.

Nieme zaciszenie legło nad grodem.

Kędyż wam?!.. Kędyż wam?!.. — jękły znów, nieukojem skołysane, serca spiżów obu.

(C. D. N.)



## U POETÓW

## SONETY.

SHAKESPEARE.

MATTHEW ARNOLD.

*Inni w zagadce naszej tkwią; wolny-ś Ty sam.  
My wciąż pytamy; ty się uśmiechasz, jak świt,  
Górując ponad wiedzę. — Lecz najwyższy szczyt,  
Co wznosi swój majestat aż do gwiezdnych bram,*

*Utwierdziwszy swe stopy w głębi morskich łóz,  
Z miejsca Świętego Świętych czyniąc własny dom,  
Użycza jednak skrajów podstawy swej mgłom  
I daremnym szperaniom śmiertelniczych dusz.*

*A ty, co gwiazdy, słońca znałeś aż po dno,  
Samouk, samozgłębiacz, samotwór, duch-król,  
Nieodgadnionyś przeszedł. No, i lepsza to!*

*Ducha nieśmiertelnego nieodzowny ból,  
Słabości, które karłą, troski, które gną,  
Dziś jeno twą zwyciężką mówią do nas brwią.*

GRÓB EDGARA POE.

STEFAN MALLARMÉ.

*Jakim w Siebie-samego dziś go wieczność zmienia,  
Poeta mieczem nagim budzi i wyzywa  
Swoją wiek, zlekty, że nie czuł, gdy go miał za żywa,  
Iż Śmierć rządzi tym głosem niezwyklego brzmienia.*

*Oni — podły wzdryg hydry, gdy czystsze znaczenia  
Anioł wlewał w codzienne słów ludu ogniewa —  
Orzekli, iż moc czaru cała się ukrywa  
W bezecnej fali marnych trunków bez imienia.*

*Wrogich gleby i nieba — krzywdo, zbrodni, żalu!  
Jeśli z was myśl nie rzeźbi tablicy, medalu,  
Któremi grób Poego ozdobić się raczy,*

*Cichy złom, co tu runął z kłęski niewiadomej, —  
Niech ten granit przynajmniej kres na zawsze znaczy  
Łotom czarnym Błuznierstwa poprzez jutrz atomy.*

SOFOKLES.

AUGUST HR. PLATEN.

*Zbożny Sofoklu, okiem tys przenikającym  
Dojrzał punkt, gdzie człowieka i boga rozstaje,  
A co w kwietne słów ziemskich przyodzialesz maje,  
To ci wprzód prześpiewało niebo, natchnień gońcem.*

*Do wnętr świata dotarłeś sercem pałającym  
I znasz też na powierzchni pasącą się zgrają:  
Wszystko, co w człeczej piersi ufa, w męce taje,  
Wypowiedziałeś swoich języków tysiącem.*

*Nigdyś nie ugrzązł w zimnym trzeźwości moczarze,  
Z szlachetną rozrzutnością buchało twe łono  
Wciąż skier jasnych wytryskiem w złotym ognia żarze.*

*Postannictwo ci wielkie i święte zlecono,  
Wypiłeś szal kipiący w poezji puharze  
I świetną dziś jaśniesz Dokonań koroną.*

NAPIS. (DOM ŻYCIA — XCVII)

DANTE GABRIEL ROSSETTI.

*Patrz w moją twarz; me, imię: Mogło-było-być;  
Zowę się też: Zapóźno, Żegnaj, Nigdy-już;  
Do uszu twych przykładam muszlę martwych mórz,  
Co z Życia pian została, by u stóp twych snić;*

*Przed oczy stawiam-c lustro, gdzie snuje się nic  
Tego, czem szumił Życia i Miłości kruz,  
A co mój czar obrócił w drżących cieniów głusz,  
Kruczy ekran, by rzeczy niewystowne skryć.*

*Uważ, jaka ma cichość! — Lecz — by słodka żarz —  
Niech nagle na mig przedrże ducha twego kir,  
Skrzydlny, w sny kołyszący westchnień mękę Mir, —*

*Ujrzysz, że się uśmiecham, i odwrócisz twarz  
K'mej zasadzce, co trzyma nad sercem twem straż,  
Bezsennie, mając w oczach zimny wspomnień skwir.*

SONET.

JÓZEFIN SOULARY.

*„Nie zmieszczę się”, — tak śmieszka ma pusta się wzbrania, —  
„Pęknę na mnie ten twardy gorset Prokrustowy!”  
Potem rozdyma piersi, spręża biodr osnowy  
I rozkosznem ramieniem opornie się słania.*

*Lubię te miłe walki — i mam dość wytrwania.  
W ciasny strój, który mojej przymierzam królowej,  
Tu ścieśniając, tam coś znów luznić do połowy,  
Weszły wreszcie pierś, ramię — i cała ma łania.*

*Sztuki teraz! Rysujmy z za fald niewystowną  
Bujność form i konturów czystość polerowną.  
Patrzcie! Suknia jest wolna, a piękność się znaczy.*

*Cóż? niczego jest przecie, choć ozdób niewiele?  
Lecz — nic zamało w sercu, nic nazbyt na ciele —  
Tak ot lubię kobietę, Muzę — nieinaczej.*

## ZUCHWAŁE MARZENIA.

JÓZEFIN SOULARY.

Gdybym tak miał pręt ziemi, wzgórze, jar czy pole,  
Z nitką wody, strumyką, źródłem lub krynica,  
Zasadziłbym drzewinę, dąb, klon czy topolę,  
Pokryłbym chatę słomą, gontem lub dranicą.

Na drzewie gniazdko z puchu, wełny, traw — jak wolę —  
Brzmiałoby ziębą, kosem lub synogarlicą.  
W chacie — łóżeczko, hamak lub mata — w dziew kole  
Znęciłyby różano-, złoto-, śniado-licą.

Więcej nad pręt nie pragnę; by go zmierzyć snadniej,  
Rzekłbym dziewczęciu, co się uśmiechnie najładniej:  
„Stań przed słońcem wschodzącem, słodkie moje cudo;

Jak daleko się cień twój na trawie zatoczy,  
Tak daleki widnokrąg mieć będą me oczy.”  
— Szczęście, którego ręka nie sięga, jest złudą.

## NA MOSCIE WESTMINSTERSKIM.

WILLIAM WORDSWORTH.

Ziemia nic piękniejszego pokazać nie zdoła.  
Tępy chyba duch jaki obojętnie minie  
Wzniosłość tak wzruszającą. Całe miasto ninie  
Nosi — gdyby koronę promienną u czoła —

Krasę switu. Rozwartą półkregiem na stoła  
Cizbą — statki, kopuły, baszty i świątynie  
Milcząco w modrej niebios pławią się głębinie.  
Wszystko w czystej powietrzni skrzy się, lśni dokoła.

Nigdy czarowniej słońce w swej chwale jutrzeńnej  
Nie kąpało wzgórz, dolin, boru ni ruczaju;  
Nigdy nie widział, nie czuł ciszy tak bezdennej!

Rzeka toczy się wolno w miękkich fal wyraju;  
Nawet domy naokół mir ogarnął senny —  
I spoczywa bez ruchu możne serce kraju.

MIRIAM.



WŁADYSŁAW KOZICKI.

## WŁADYSŁAW JAROCKI.

(Twórczość artysty na tle rozwoju nowszej sztuki polskiej.)

(DOK.)

Oba kierunki łączy w swej sztuce W. Weiss, niestrudzony w poszukiwaniu trudnych problemów ściśle malarskich, twórca, który impresjonistą starszej daty właściwie nigdy nie był, lecz, zaczawszy od wspólnie przetrwanego naturalizmu dawnego typu, od razu przeszedł do prądów najnowszych. Natomiast pod żadną z tych dwu grup nie da się bez reszty podporządkować sztuka F. Pautscha, który fantastyką poetycką i tytanicznym rozmachem wyodrębnił się z grona swych towarzyszy. Z malarzy zagranicznych tylko Zuloaga mógłby do pewnego stopnia przedstawiać swój ekwiwalent psychiczny jego twórczości. Podobne zupełnie stanowisko zajął w malarstwie naszym nieoceniony, przedwcześnie zmarły Wojtkiewicz, subtelny poeta ironicznej melancholii. Na drogę syntetyzmu wstąpił wreszcie także Władysław Jarocki, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodszego pokolenia, którego twórczość poddam w dalszym ciągu ściślejszemu rozbirowi krytycznemu.

Podczas gdy wymienieni artyści w walce z naturalizmem ulegli tylko spokojnej ewolucji, najmłodsza rewolucyjna grupa malarzy, którą można objąć ogólną nazwą ekscentryków, zerwała radykalnie nie tylko z bezpośrednią przeszłością, ale po części z całą dotychczasową tradycją malarstwa. Mając swych prekursorów w symbolistach, Janie Toropie i Edwardzie Munchu, a najbliższych mistrzów w takich malarzach paryskich, jak Picasso, Gauguin, Bracque, Van Dongen, Matisse i t. d., artyści ci albo symbolicznie konstruują formę w sposób zbliżony do doktryny „kubizmu”, (Zbigniew i Andrzej Pronaszkanie, Mierzejewski, Makowski, po części Mitarski), albo uprawiają t. zw. ekspresjonizm rozmaitych odcieni, t. j. starają się malować przedmioty nie tak, jak się przedstawiają bezpośrednio spostrzeżeniu zmysłowemu, ale tak, jak je reprodukuje uczucie (Grodecki, Gottlieb), albo wreszcie stylizują swą sztukę w kierunku prymitywnego neoarchaizmu (Zak, Merkel, Buszek, Bojczuk, Pstrokoński, Rzecki, Lewicka).

O najnowszych tych prądach, o tych prawdziwych „nowinkach dyssydenckich”, przeciwstawiających się z nonszalancją całemu „passeizmowi” w sztuce, nic stanowczego jeszcze na razie powiedzieć nie można — z wyjątkiem neoarchaizmu, który, jak wszelka stylizacja, oparta na wzorach przeszłości, może wydać ciekawe obrazy, ale nie może sobie rościć pretensji do zawładnięcia przyszłością. Wszystko to są jeszcze światy, znajdujące się w fazie mgławic, zjawiska, ży-

jące na razie raczej w świetle teorii, niż w słońcu twórczego czynu. Może to być równie dobrze przemijająca efemeryda, jak początek nowej epoki i nowego rozkwitu sztuki. W każdym razie, u niektórych przynajmniej z tych artystów, najpoważniejszych i najgłębszych, jak Z. Pronaszko, ocenić i uznać należy bolesny, krwawy wysiłek twórczy.

## II.

Tak w najogólniejszych skrótach przedstawia mi się rozwój malarstwa polskiego w epoce pomatejkowskiej. Spróbuję teraz naszkicować, jak wygląda ten rozwój widziany przez pryzmat duszy i sztuki jednego malarza. Jako przykład obieram szacowną twórczość W. Jarockiego, która jest o tyle w tym wypadku typową, iż daje obraz powolnego, ale trwałego przezwyciężania naturalizmu, stopniowego zdobywania nowych dróg i nowych horyzontów.

Kiedy Jarocki kończył swe studia na wydziale architektury w politechnice lwowskiej, twórczość „Młodej Polski” dochodziła do pełni rozkwitu. Czar tej sztuki, świeżość jej motywów, buntownicza zabobność nowych idei artystycznych, cały ten ferment wskrzeszający i oczyszczający, który wytworzył się w Krakowie i wyraz swój znalazł w osiedleniu się tam Przybyszewskiego i objęciu przez niego redakcji „Życia” — wpłynął nań tak pociągająco, że pomimo dyplomu architekta w kieszeni, porzucił ten zawód i wpisał się w poczet uczniów Akademii Krakowskiej. Niedługo jednak tam bawił, wpływowi żadnego z preceptorów nie poddał się bezwzględnie tak, że można go — jak wielu wybitnych malarzy — uważać prawie za samouka. Mistrzom swoim z Akademii (— jakże dalekim od wszelkiego akademizmu! —) Mehofferowi, a zwłaszcza W. Czółkowskiemu, zawdzięcza tylko najogólniejszą formalną tendencję swej sztuki, która narodziła się pod znakiem naturalizmu impresjonistycznego. Podróż do Paryża tylko umocniła w nim ten kierunek, oparła jego technikę na trwałych podstawach. Prawdziwym jednak jego nauczycielem była natura i lud, jako jeden z jej biologicznych objawów. Ścisły związek z naturą, gorące umiłowanie wszystkich jej postaci i fragmentów, a tem samem umiłowanie ludu, jako jednego z najbardziej dla oka malarskiego umiłowanych kształtów natury — oto zasadnicza cecha sztuki Jarockiego. Niema w tem jednak żadnego czułościowego, jeszcze od Rousseau'a datującego się sentymentalizmu, jaki zrodził n. p. chłopów z widowisk Anczyca, żadnego chłopomanstwa, będącego wyrazem przekonań społecznych. Nie gra też u niego żadnej roli interes etnograficzny, który niegdyś kazał Sewerynowi Obstowi zbierać typy huculskie i zabytki zdobnictwa, sprzę-

tarstwa i sztuki ludu wschodnio-karpackiego. Lud dla Jarockiego jest tylko motywem malarskim, równie dobrym i ważnym, jak śnieżne wirchy i stępy nieprzejrane, jak spieniony potok górski lub las, tajemniczym hymnem rozśpiewany. Gdyby malarz był obowiązany swoje skłonności metafizyczne ujmować w syntezę filozoficzną, musiałby Jarocki stwierdzić, że jego pogląd na świat przesiąknięty jest panteizmem. Tak dalece — przynajmniej w początkach jego twórczości — dąb, kawałek skiby, pług, czy wół postawiony jest w obec siatkówki jego oka na jednej płaszczyźnie z człowiekiem, którego myśli i uczucia nie mają dla niego, bynajmniej większego znaczenia, niż życie psychiczne zwierząt, lub wegetatywne istnienie roślin, czy też wreszcie pozorny brak życia w świecie anorganicznym. Wszystko to istnieje dla niego tylko o tyle, o ile jest kształtem i barwą, a jedynym miernikiem wartości staje się dla niego zdolność tych wykraków wielkiej natury do przeistoczenia się w motyw malarski.

Że w tych warunkach niema mowy o jakiegokolwiek literackości, nie trzeba nawet wspominać.

Niema żadnej fabuły, żadnej anegdoty, są tylko elementy malarskie, przetworzone w studia i ich kompleksy, przetworzone w kompozycje. Pod tym względem artystm Jarockiego przedstawia jak najczystszy, wolny od naleciałości typ malarski. Co więcej: w początkach twórczości Jarockiego objawy psychiki ludzkiej znajdują swój wyraz tylko o tyle, o ile dzięki ciągłemu powtarzaniu się i oddziaływaniu w pewnym określonym kierunku na nerwy i mięśnie nadają odpowiedni stały wyraz fizyognomii. W sztuce jego ówczesnej przejawia się jedynie człowiek o psychice normalnej, nieporuszony żadnym afektem, człowiek, niewytracony z równowagi żadnem radosnem czy bolesnem szarpnięciem duszy. W początkowych pracach artysty twarz ludzka występuje jako niemy instrument: czujemy, że instrument ten jest zdolny do zadźwięczenia ową muzyką, jaką jest zmienna gra uczuć, samej tej muzyki jednak wtedy jeszcze nie słyszymy. To mając na uwadze, musimy dodać, że ówczesny panteizm Jarockiego ma zabarwienie silnie materialistyczne.

Ta właściwość jego talentu groziłaby może jego postaciom niebezpieczeństwem pewnej ujemnej martwoty i nieruchomości, gdyby nie współdziałanie innych zalet jego pędzla, dzięki którym postacie te urastają do rozmiarów olbrzymich, żywiołowych, niemal ponadludzkich. Od ludu Jarockiego, czy to są — jak w początkach — Huculi wschodnio-galiccy, czy — jak później — górale podhalańscy, bije fala niesłychanej pierwotnej prostoty i siły, nieosłabionej żadną miękkością, żadnymi nerwowymi lękami, które przynosi

ze sobą wysubteinienie kultury. Postacie te na tle lasu, płaszczyzny śniegowej, gór czy stepu, rysują się z posagową wyrazistością, nabierają kształtów tak monumentalnych, że robią wrażenie nie przemijających zjawisk życiowych, ale elementów niespożytego, wiecznego trwania. Jesteśmy skłonni widzieć w tem coś więcej, niż zwyczajne malowidła, niż kształty i barwy natury, ujęte w syntetyczny całość kształtu dzieła sztuki. Czuje się tu jakby wyznanie wiary, jakby echo poglądu na świat, głoszącego mocną, radosną ewangelię o bujności i niezniszczalności życia, o dostojności i zaufanej w sobie potędze człowieka, związanego z ziemią i uczestniczącego wiernie w jej tryumfach i błogosławieństwach, w jej rozpaczach i kłopotach. Podobny hymn na cześć ziemi i jej czynów stworzył niegdyś w zaraniu włoskiego renesansu wielki malarz legendy o św. Krzyżu, Pietro della Francesca!

Jakikolwiekby dalszy rozwój Jarockiego, owa pierwotna siła i monumentalność jego tworów pozostanie na zawsze podstawowym rysem jego sztuki. Objawia się on w całej pełni już w jednej z najwcześniejszych kompozycji, w owej „Orce“, gdzie potężne cztery, długorogie woły w trudzie i znoju wielkim ciągną głęboko w czarnoziem zaryty pług i poruszając się krok za krokiem, odwalają tłuste skiby urodzajnej, podolskiej gleby. W wyższym jeszcze stopniu występują te cechy w „Pogrzebie huculskim.“ Na niskich płozach sanek złożono trumnę ze zwłokami syna ziemi, przykryto je barwnym samodziałem, na wierzchu krzyż dębowy złożono. Woły, wierne towarzysze ciężkiej jego pracy, wiozą go tam, gdzie wypocznie do syta. W głębi, na tle lasu majaczy żalobny ornat księdza, obok trumny kroczy obojętnie kilka zwalistych, kanciastych Huculek w krótkich baranich kożuszkach, z krasnemi chustami na głowach i kilku Huculów z obnażonemi hyrami włosów, w sierakach, z torbami, przewieszonemi przez plecy. Nic prostszego i bardziej zwyczajnego nie można sobie wyobrazić, żadnego tu się nie odnajdzie patosu, żadnego pogłosu tragedii. A mimo to jakaż w tem obrzędowa dostojność, jaka powaga pierwotnej siły, jaki gest posagowy! Pogrzeb biednego chłopca staje się manifestacją jakiejś uroczystej, niezgłębianej tajemnicy przyrody!

Te same psychofizyczne właściwości talentu Jarockiego, tę samą prostotę, siłę i monumentalność, odnajdziemy w innych obrazach z owej epoki jego twórczości: w „Grajkach wiejskich“, w twardych, zawzięte swe twarze na tle białych kopuł cerkwi kijowskich ukazujących „Żebraków“, w trzech dziewczynach huculskich, okutanych w twarde gunie i kroczących po śniegu w towarzystwie młodego parobka, w „Nabożeństwie przed cerkwią w Tatarowie“ w „Wnę-

trzu cerkwi", (zakupionem przez rząd włoski dla galerii sztuki nowożytnej w Rzymie), w „Pastuszkach na Ukrainie", wreszcie w doskonałym autoportrecie artysty, gdzie przedstawiał siebie jako narciarza, na tle zimowego, górskiego pejzażu.

Jak dalece te zalety są potrzebne do utrzymania sztuki Jarockiego na wyższym poziomie, dla ochronienia jej od zbyt surowego naturalizmu, o tem świadczą kompozycje, poczęte w innej szczęśliwej chwili i nie wykonujące tych pierwiastków, n. p. „Jordan". Zapewne mnogość figur (chłopów i chłopiek w baranich kozuchach, zapalających świece lub trzymających chorągwie i dzwonki na poświęconą wodę), których artysta nie zdołał wkomponować w zwarte, syntetycznie uproszczone grupy, przy równoczesnej nieobecności życia psychicznego, a nawet żywszej akcji fizycznej i jej punktu koncentracyjnego — sprawia, że obraz ten robi wrażenie wytworu dawnej szkoły naturalistycznej. Pozbawiona i siły i monumentalności praca ta jest zwykłą sceną z religijnego życia ludzi, pojętą realistycznie, bez wszelkiej głębszej duchowej intencji. Jest to mimo wszystko tylko okaz „*genre*" u, tego rodzaju sztuki, którą w zakresie tych samych tematów huculskich uprawiał Zuber, a która zresztą jest jak najbardziej przeciwna naturze Jarockiego. Że mamy tu do czynienia z obrazem nowszego typu, na to wskazuje tylko śmiała, szerokopłaszczyznowa technika, daleka od wszelkiego trwożliwego wykończenia, wygładzenia i wylizania, unikająca z bymślu formalnego piękna, (które ciągle jeszcze bywa mylnie uważane jako jedyny element sztuki) — i właściwy podówczas Jarockiemu koloryt, który, opierając się na zasadzie *plain air* u, utrzymuje się w tonie ogólnym niezbyt jasnym i operuje kontrastem zestawianiem tonów gorących i zimnych.

Lecz wyjątki takie, jak „Jordan", są u artysty nieliczne, olbrzymia większość jego dzieł daje wierne odbicie jego natury silnej, pierwotnie zdrowej, nie nadwątłonej współczesną neurastenią, twardej, odważnej i nieustępliwej, biorącej życie poważnie i głęboko, a zarazem wyposażonej dużą dozą tego pięknego wstydu męskiego, który uczucie każe utrzymać na dnie duszy, zamiast wywlekać je na bruk i błoto rynków miejskich. Natura to zarazem spokojna, niewybuchowa, skłonna do refleksji, kierująca się nie tyle twórczą intuicją, ile rozważą i obserwacją artystyczną.

Podróż artysty do Rosji i dłuższy pobyt na Ukrainie, na Kaukazie i w Rzymie nie wnosi zasadniczo nowych pierwiastków do twórczości Jarockiego. Pojawiają się tylko nowe typy ludowe i nowe wspólnie motywy pejzażowe. Natomiast długi, kilka-

letni pobyt w Paryżu i w Londynie, a następnie we Włoszech oznacza w sztuce artysty ważne nowe zdobycze. Przedewszystkiem w Paryżu zaznajomił się gruntownie z techniką rytowniczą, dzięki czemu powstaje szereg doskonałych, całą subtelnością sztuki czarno-białych tchnących akwafort o tematach architektonicznych. Takie widoki jak Notre Dame, St. Séverin sur les Monther, ów kościół utworzony z mieszaniny gotyku i renesansu, jeden z najprzedniejszych gmachów świata, kaplica Boimów we Lwowie i inne — są to nie wierne i niewolnicze odtwarzania rzeczywistości, jakby po zawodowym architekcie można się było obawiać, ale zupełnie swobodne malarskie transpozycje danych tematów. Tak samo postąpił Jarocki wobec pałaców i kościołów weneckich, które przetworzył w szereg pulsujących samoistnem życiem widoków pastelowych, taką samą postawę zajmuje też wobec zabytków architektury polskiej w Galicji i Królestwie, które począł zbierać i rysunkowo przetwarzać na uczucia obecnej wojny. Nawiasem wspomnę, że artysta z powodzeniem uprawia również autobiografię pejzażową i figuralną, czego dowody złożył w imponującej „Tece" wydanej wspólnie z Sichulskim.

Ważniejszym był jednak wpływ, jaki Paryż wywarł na rozwój kolorytu Jarockiego. Był on już wtedy artystą o zbyt wyraźnej i skryształizowanej fizyognomii, aby mógł przejąć się kubistycznymi i futurystycznymi ekstrawagancjami Picassów, Van Dohgenów i Matisów. Studyjąc jednak najróżnorodniejsze kierunki, ścierające się na gruncie paryskim, wyniósł stamtąd dwie ważne dla siebie nauki: jedną, że należy bardzo znacznie rozjaśnić swą paletę; drugą, że naturalistyczne zestawienie barw według wzorów natury należy zastąpić swobodnemi harmoniami barwnymi, zawisłemi od celu kolorystycznego danego obrazu.

Rozpoczyna się z tą chwilą druga faza rozwoju Jarockiego. Tematowo zaznacza się ona przeniesieniem kopalni motywów malarskich z Huculszczyzny w Tatry i na Podhale, do Zakopanego, Witowa, a przedewszystkiem do Poronina. Że ta zmiana wyszła na dobre sztuce artysty, o tem nie może być dwóch zdań. Bo lud Podhalański, zachowując tę samą, co Huculi, pierwotną siłę i prostotę synów ziemi, przewyższa ich bez porównania dystynkcyją stroju i zdobnictwa, inteligencją i ruchliwością umysłów, niesłychanie żywym, samorodnym dowcipem i ogromnie zaostrzonym zmysłem spostrzegawczym, a wreszcie dostojnością tradycji, odczuwanej w jej nieprzerwanej ciągłości. Nie bez przyczyny pomnik wiecznotrwały wystawił ludowi temu mistrz taki, jak Kazimierz Tetmajer, w swem „Na skalnem Podhalu".

Gdy Jarocki przesuwa przed naszymi oczami szereg doskonałych studyów portretowych swych starych niedźwiedzi czy zbójników podhalańskich, owych Orawców, Gutów, Bernatów, Ustupskich, tak dumnych ze swego patrycyatu poronińskiego, iż odczuwają — na wzór grandów hiszpańskich — potrzebę takiej denominacji, jak np. „Józef Mardula, Gał Krwawy od Ludwisie“, czy też owych młodych, gibkich, smukłych i pięknych, orlikowatych juhasów — to, przy zachowaniu dawnej, nieodłącznej od istoty tego artysty siły i monumentalności, otrzymujemy nie galerię ogólnikowych typów, odzianych w portki, cyfrowane w parzenice, w koszule zapięte na mosiężne, ozdobnie cyzelowane zapinki i w cuhy, barwnymi wstążkami związane, lub w krótkie kożuszki, dyskretnie ornamentowane, ale wyraźnie sprecyzowane indywiduala o całej różnorodności i bujności psychiki osobistej.

Oto góral w sile wieku, z twarzą rozumną, chytrą i przebiegłą, szcwany lis, gotów ze skóry obedrzeć cepra, który przyjedzie, by się nalykać aromu tatrzańskiego, niepozabawiony jednak pewnej grandezzy i przeświadczenia o słuszności swej taktyki. Tam znów staruszek, jedną nogą już w grobie stojący, zmurszały, jak stara wichrami halnemi smagana wierzba, któremu roją się wizye zaświatów, gdzie razem z duchami swych dziadów — zbójników, co na Uhry za łupem chadzali, zażywać będzie gazdowania niebieskiego.

Jeśli studia górali mężczyzn były dla Jarockiego szkołą pogłębienia psychicznego postaci, to przeciwnie malowanie niesłychanie kolorowo odzianych kobiet i dziewcząt z ich kraśnymi spódnicami, chustami i pięknie naszywanymi stanikami — pomogło mu do osiągnięcia nowego charakteru kolorytu. Ów antynaturalizm kolorystyczny nie objawił się u niego jeszcze na razie; zdobyciem swoistych harmonii barwnych, ale ogromnem, niespotykanem u modeli natężeniem skali barwnej i pewnem stylizowaniem w kierunku prymitywnej sztuki ludowej. Nie bez racji pisał o tej kategorii jego obrazów jeden z krytyków zagranicznych, że Jarocki maluje tak, jakby brał barwy z palety owych domorosłych artystów ludowych, którzy ozdabiali swe skrzynie i malowali święte obrazki na szkłe. Ale winien był dodać, że to, co u tamtych było niejako nieświadomym oddechem ich rasy, to u Jarockiego staje się wynikiem refleksji, premedytacji, słowem świadomego zamiaru twórczego i — co ważniejsze — że ten rodzaj kolorytu był dla niego tylko jednym z etapów drogi, wiodącej do zdobycia kolorytu indywidualnego, niezależnego od natury. To jest bowiem w tym wypadku rzeczą zasadniczą i z tego punktu widzenia należy oceniać takie

obrazy artysty, jak „Dziewczę w oknie“, „Dziewczęta Poronińskie“, „Kobieta w słońcu“, „Na hali“ i inne.

Dzięki wymienionym zaletom, to jest dzięki pierwotnej sile i zdolności do monumentalnego stawiania postaci, oraz dzięki pogłębieniu psychicznemu i własnemu, nienaturalistycznie natężonemu i prymitywnie stylizowanemu kolorytowi, Jarocki wysunął się na czoło wszystkich malarzy Podhalan. Nie mówiąc już o najstarszym z nich, czcigodnym Aleksandrze Kotsisie, który temat ten traktował w stylu swej epoki, to jest rodzajowo i idyllicznie, nie mogą mu dorównać w tym względzie ani Augustynowicz, ani Rembowski lub Skoczylas czy Galek.

Jeśli mowa o Jarockim jako o malarzu Podhala, trudno nie zaznaczyć, jak w ścisłym związku pozostaje ten dział jego sztuki z wielką twórczością Jana Kasprowicza, a w szczególności z tą wspaniałą manifestacją wyrozumiałości, dobroci i umiłowania ludzi prostego, szczerzego serca, z tym słonecznym hymnem na cześć pogodzenia się z losem i wiary w ludzkość, jakim jest nieoceniona „Księga ubogich“. Niektóre obrazy Jarockiego wyglądają wprost jak ilustracje poezji zebranych w tej książce. Gdy patrzymy na jego „Kościół w Poroninie“ przypominają się nam te słowa „Księgi ubogich“:

„Przychodzę pod zgrab czerniasty  
Modrzewiowego kościoła,  
I słucham, jak głos odwieczny  
Do wielkich wyznań woła.“

Przytulon do lipy stuletniej,  
Oszolomiony jej wonią,  
ulegam świętym urokom,  
co w pieśni organnej dzwonią.

Jest też wśród obrazów Jarockiego ów dom Poroniński, w którym poeta przeżył bez przerwy kilka lat swego życia, i w którym nadto od szeregu lat spędza wywczaszy letnie:

Nie ma tu nic szczególnego,  
Żadnych tu dziwów świata,  
Fundament z skalnych odłamów,  
Z płazów świerkowych chata.

Przed chatą mały ogródek,  
A w nim — o ludzie zmęczeni! —  
Czuwa nad naszym spoczynkiem  
Rząd pewnych siebie jasieni.

Wśród pejzażów poronińskich Jarockiego, należących do najlepszych, jakie namalował, odnajdziemy i ów Dunajec, płynący wartkim nurtem tuż obok domu poety pod zieloną ścianą „Łosiówek“ i pola, po których chodząc, stworzył Kasprowicz całą „Księgę ubogich“ i ów majestatyczny wal Tatr, błękitniejący w oddali, lub płonący wieczorami od blasków zacho-



dążącego słońca, od Hawrunia aż hen po Osobitę,  
z potężną piramidą „Lodowego” nawprost okien  
domu poety:

„Witajcie, kochane góry,  
O, witaj, droga ma rzeka,  
I oto znów jestem z wami,  
A byłem tak daleko.”

„O wierchu ty, Wierchu Lodowy,  
I znowu się zwracam do ciebie,  
Olbrzymie rozbiektniony  
Na tem błękitnem niebie.”

Stoiaz naprzeciw mych okien,  
Codziennie widzieć cię muszę,  
Zaglądasz z swej dali w mój izbę,  
A nieraz — zda mi się — w duszę.”

Nie brak wreszcie wśród obrazów Jarockiego postaci Tej, której poświęcił Kasprówic jeden z najpiękniejszych swych poematów, zaczynający się od słów:

„Umiłowanie ty moje!  
Kształty nieomal dziecięce,  
Skoń dotąd niepomarszczona,  
Białe, wąziutkie ręce.”

Znakomite w wyrazie i w szarmonizowaniu z tłem portrety pani Maryi Kasprówiczowej i obu córek poety, jednej przy harmonium, drugiej na tle krajobrazu, to dalsze ogniwa tego łańcucha, którego trzymając się, schodzi Jarocki coraz pewniej z rozigranych kształtami i barwami hał zewnętrznego życia do tajemnicznych głębi duszy ludzkiej. Kosztowało go to zapewne dużo zaparcia się siebie, aby swój pendzel, przywykły do silnego rozmachu, zmusić do delikatnych, subtelnych pociągnięć, jakich wymaga portret kobiecy. Wyszedł jednak z tych zapasów zwycięzcą, podobnie, jak podolał w zupełności wymaganiom dobitnej charakterystyki psychologicznej w namalowanych współcześnie portretach p. Jana Niesiołowskiego, rektora Twardowskiego i prof. Rómera.

Z artystycznym i przyjacielskim współzyciem Jarockiego z Kasprówicem łączy się jeszcze jeden epizod, już z czasów obecnej wojny. Zdarzyło się, że znany w Poroninie kupiec stawiał sobie pod koniec r. 1914 nową gospodę. Gromadce malarzy i literatów, zbierających się u Kasprówicza, przyszło na myśl, że dobrze byłoby ściany jednej z izb parterowych tej gospody przyozdobić artystycznie i stworzyć coś w rodzaju „Nonszalanckiego Paona” lub „Michalikowej jamy”, gdzieby można było zejść się od czasu do czasu, by zapomnieć na chwilę o szarpającej nerwy psychozie wojennej i swobodnie porozmawiać o dręczących każdego Polaka zagadnieniach na temat polskiej przyszłości. Nie namyślając się długo, namalował Jarocki potężnymi rzutami pędzla

na jednej ścianie Kasprówicza jako króla Marcholta, któremu korona z głowy zleciała, a berło z rąk wypada, pod czym sam poeta umieścił stosowny werset, na drugiej zaś ścianie żarłoczną chimere niby symbol toczącej się wojny. Tymon Niesiołowski zajął się ornamentacją sufitu. Czas zapewne zdrapał już z kruchego wapna większą część tych malowideł, rzuconych na ścianę w przystępie humoru i wielkopańskiej rozrzutności artysty, ale my zawdzięczamy im szereg chwil dobrych i miłe wspomnienie, jakim miał stać się dawniej — jako pamiątka lwowskich sympozyonów piątkowych — na razie niestety, nieskończony portret zbiorowy, przedstawiający artystę samego, Kasprówicza, Leopolda Staffa, Antoniego Muellera, autora znakomitej powieści p. t. „Henryk Flia”, historyka sztuki Mieczysława Tretera i podpisanego, zebranych przy winie na tle włoskiego morza (widzianego oczami duszy i tęsknoty). W onych malowidłach w gospodzie kupcowej otrzymaliśmy nadto naoczny dowód dekoracyjnych zdolności Jarockiego. Niestety, jakże rzadko ma polski artysta możność swobodnego wypełnienia architektonicznej przestrzeni utworami swej myśli i fantazyi.

Zbliżyliśmy się do trzeciej, na razie ostatniej, fazy rozwoju talentu Jarockiego. Jeżeli w drugiej oddalenie się artysty od naturalizmu zaznaczało się tylko w psychologicznym pogłębieniu i zindywidualizowaniu typów góralskich, oraz w natężeniu skali barwnej, lecz naogół modele góralskie były bądź co bądź *in crudo* przenoszone na płótno, to obecnie następuje zasadnicze zerwanie z naturalizmem i w temacie i w formie. Artysta dochodzi do przekonania, że stosunek podporządkowania wobec natury nie może mu już wystarczać. Chcąc mimo to utrzymać się w zakresie góralskich tematów ludowych, zrozumiał, trafnym instynktem wiedziony, że nie osiągnie swego celu, łącząc postacie górali w sceny obyczajowe z życia tego ludu. Unika więc takich ulubionych przez naturalistów tematów, jak wesela, jarmarki, pogrzeby, wiosenne pochody juhasów na hale i t. d., a natomiast postanowił zstąpić na dno rasowych, nieprzemijających wartości psychiki ludowej. I w własnej, poważnej, mocnej duszy i w potężnie pierwotnej duszy tego ludu dostrzegł Jarocki pierwiastki umożliwiające stworzenie sztuki, zahaczającej o najwyższe sfery życia ludzkiego, sztuki dramatycznej i religijnej. Z tych rozważań i dążeń rodzą się takie kompozycje, jak „Ave Maria”, „Powrót z Golgoty”, „Smutne wieści”, „Opowieści góralskie”, a przede wszystkim „Ukrzyżowanie”, w którym zasadniczy charakter tych koncepcji doszedł do najpełniejszego wyrazu. Dynamika duszy ludzkiej pragnie też już nieograniczonej swobody i znajduje ujście w akcji, nacechowanej głębokim tragizmem: ukrytym na dnie duszy, jak ziarno

w glebie, skarby metafizycznych tęsknot strzelają w górę silnym zdrowym pędem religijnego patosu. Dzięki tym obrazom sztuka Jarockiego zyskała na głębi i uduchowieniu. Jeśli dawniej z pewną słuszością można go było porównywać z Lucien Simonem, to teraz wzniósł się do wyżyn Cottet'a.

Jak dalece zwrot, któremu w ostatnich czasach uległ Jarocki, ułatwił mu opanowanie tajemnych strun duszy ludzkiej, tego wymownym dowodem subtelny, pełen poezji portret zmarłego niedawno, sędziwego malarza lwowskiego, Seweryna Obsta.

Jednakże i owe kompozycje dramatyczno-religijne o motywach ludowych nie tworzą punktu kulminacyjnego dotychczasowej twórczości artysty. Ów szczyt upatruję w ostatnich jego pejzażach, zwłaszcza tych, które za przedmiot mają turnie i jeziora tatrzańskie. Zapowiedzią ich już były krajobrazy litewskie, w których poważny smutek i cicha melancholia równin nadniewiejskich zostały oddane z przedziwną ekspresją. Atoli dopiero w pejzażach tatrzańskich odnalazł Jarocki w całej pełni swój własny styl, a zarazem swoje swobodne, niekrępujące się naturą akordy kolorystyczne.

Większość ich powstała w moich oczach. Spędziliśmy wtedy (w czerwcu 1915) kilka niezapomnianych dni w schronisku przy Morskiem Oku, które

nam pozwoliły zapomnieć zupełnie, że wojna szaleje na świecie. Jarocki wstawał o świcie i malował aż do zapamiętania się, jakby hycopem zbożnej pracy twórczej chciał oczyścić się z truciźn wojennej psychozy. Wschodzące słońce zapalało zwolna ognie na szczytach, z mgieł porannych coraz wyraźniej wylaniały się zarysy wieczyście rozmodlonego „Mnicha”, na śnieżnych zboczach Rysów i Miedzianego pojawiały się czarne, ruchliwe gromadki czujnych kozic, gdzieś od turni Mięgoszowieckiej dochodziły ostre gwizdy świstaków. A pod pędzlem malarza Morskie Oko czy Czarny Staw pod Rysami, wraz z odbiciem przeglądających się w nich skał, przemieniały się w jakieś fantastyczne, wizyjne krajobrazy zaświatów.

W żadnym z swych dzieł poprzednich nie doszedł artysta do takiego stopnia uduchowienia i dematerializacji rzeczywistości.

Jarocki znajduje się obecnie w pełni swych sił życiowych i twórczych. Nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa swej sztuki i nie stanął na owym szczyście, gdzie — według tragicznych praw życia — jest tylko jedna możliwość: zejścia w dół. Że jego dalszy pochód w górę, ku wyżynom, będzie pomyślny i radosny, tego dotychczasowa jego twórczość dostateczną jest rękomią.

## MISCELLANEA.

### FALSZYWY GIEŚT.

Dość już — dość polemiki! słyszymy z wszystkich stron. Niczego goręcej nie pragniemy. Niech to nasze odwołanie się do społeczeństwa polskiego będzie ostatniem — tym razem bezwzględnie koniecznem.

„Przedstawicielom społeczeństwa — i to rzeczywistym przedstawicielom tegoż — będziemy niezmiernie wdzięczni, jeżeli zechcą na łamach naszego pisma z bezwzględną szczerością wypowiedzieć, czego od twórców społeczeństwa żąda...”

Wzwanie to nasze w otwartym liście do Wiktora Gomulickiego uprzedził przedstawiciel pewnego odłamu społeczeństwa, a takim jest bezwątpienia „Kurier Poznański”, w wstępnym artykule z dnia 20/XI pod tytułem: „Fałszywy gieśc.”

Artykuł ten nie jest właściwie ściałą odpowiedzią na nasze pytanie — jest jeszcze szerzej zakreślony, bo jest niejako odpowiedzią na dalsze zapytanie: czego żąda społeczeństwo od pisma, w którym ci twórcy się wypowiadają, a więc w danym wypadku od „Zdroju”?

Jest to artykuł, na pozór pismu naszemu życzliwy, ale tą życzliwością, z jaką Antoniusz Szekspira bezustannie podkreśla: „A przecież Brutus jest czynajgodniejszym człowiekiem!” Wiemy, iż byt pisma naszego zależny jest od wewnętrznego zbliżenia lub oddalenia między nim a jednostkami z pośród najkulturalniejszej części polskiego społeczeństwa, nie zaś od zaakrabienia sobie życzliwości, płynącej z źródeł, które z innej warstwy górskiej tryskają, niż „Zdrój”, i inne, specyficzne wytknęły sobie zadania. Ale również dobrze wiemy, że wielka część czytelników „Zdroju” czerpie swoje informacje z „Kuryera” i tym właśnie czytelnikom obydwóch pism jesteśmy winni odpowiedź na zarzuty „Kuryera”. Otóż, co píše „Kurier”, niezadowolony z pierwszych czterech numerów „Zdroju”, któremu zarzuca, że górny lot jego ku słońcu chybotze, a równocześnie uniewinnia nas łaskawie, że każdy początek jest trudny — ale:

„Dla nas pojawienie się publikacji z aspiracyami do wkręcenia nowych prądów w sztukę, do dźwignięcia poziomu kultury duchowej społeczeństwa ma szersze znaczenie — z dziedziny czystej literatury wkracza ono w sferę czynów społecznych.”

Bez wątpienia!

Otóż stwierdzamy wbrew wywodom „Kuryera”, który „Zdrojowi” odmawia tego czynu, że „Zdrój”, wierny zasadzie, iż sztuka jest sama w sobie celem, a tem samem spełnia bezwzględny postulat istotnej KULTURY, a wszelka tendencya-doktryna nic z sztuką nie ma wspólnego, jest pozatem:

Czymem społecznym jak największej doniosłości.

Oto bilans życia umysłowego w Poznaniu, sporządzony jeszcze w roku 1911 przez człowieka o wysokiej kulturze i gorącej miłości dla Wielkopolski, który dla tysięcy powodów musiał pisywać swoje listy z Poznania pod pseudonimem:

„Dziwnie jałowy, kamienisty, bezплоdny jest ten grunt poznański. Tam gdzie przed laty zbiegały się ożywcze „strumienie sztuki i wiedzy, dziś, wszędzie, gdzie oczy zwrócimy, widzimy głuchą martwość, bezwład i tepą bezmyślność. Ani jeden rytm wielkiej symfonii twórczej nie drga w powietrzu. Jakby klątwa jakaś zawiła nad ugorami „naszej umysłowości wielkopolskiej. Może nam uczony jakiś społecznik wyliczyć nasze postępy w dziedzinie ekonomiczno-politycznej, może sprytnie wykalkulować, że zużywamy na to tyle energii zbiorowej, tyle wysiłków jednostek, że na „inne rzeczy” nie starczy sił ni czasu. Rachunek taki na nic nam się nie przyda, tak jak choremu nic nie pomoże orzeczenie lekarza, że przybiera fizycznie, że znakomicie wygląda, kiedy czuje, że duch z niego ulata.

„Znajdujemy się niewątpliwie w wyjątkowych warunkach (w dosłownem i przenośnem tego słowa znaczeniu), nie można też do naszych stosunków przykładać miary normalnej. Jednakże stwierdzenie tego nie uchroni nas od „przeświadczenia, że rozwijamy się zupełnie jednostronnie i że nie będziemy żyli pełnią życia narodowego, dopóki „wyższa kultura umysłowa leżeć będzie odlegiem. Jesteśmy stanowczo dotknięci pewnem kalectwem „w psychice naszej, i nie wyleczymy się, dopóki dzielnicy naszej z resztą Polski nie powiążemy żywymi prądami duchowej jednności. Cóż z tego, że, jak się to mówi, budujemy fundamenty, kiedy obcy przyjdzie i na nich swój „gmach postawi?”

Czyż „Kurier Poznański” mógłby chociaż jednemu zdaniu tego bezwzględnie szczerego i niestety zbyt prawdziwego bilansu zaprzeczyć, kłam nam zadać? Czy mógłby zbici chociaż jeden z tych ciężkich i bolesnych zarzutów, które człowiek o tak nieskazitelnej prawości, jak Aleksander Świętochowski, w swoim dziełku: „O ofiarności publicznej” Wielkopolsce robi?

Niech nam „Kurier Poznański” wskaże chociaż jedną książkę o istotnej artystycznej wartości, któraby w ostatnich dziesiątkach lat światło dzienne ujrziała w Poznaniu, niech nam wskaże jedno pismo, któreby było w tym samym czasie służyło kulturalnym potrzebom społeczeństwa!

Ostatnim odruchem tych potrzeb był „Przegląd” Rabaskiego, a ten po dwóch latach aromotnie upadł, i taki sam los chciałby „Kurier” „Zdrojowi” zgotować?

„Pismo — pisał dalej „Kurier” — nie powinno upajać wonią egzotycznych kwiatów nieliczne koło wybranych, lecz winno być placówką myśli śmiałej, w której gorące tętno prądu współczesnego znajdzie swe odbicie, „która ucieleśni w sobie najszlachetniejsze pierwiastki i dążenie naszej duszy zbiorowej.”

Otóż wszystkie te postulaty „Kuryera” „Zdrój” z zbroją ucciwiłością i z bezwzględna odwagą spełnia.

Najszlachetniejsze pierwiastki i dążenia naszej duszy zbiorowej, to: PRAWDA.

Nasza zaś tężyzna w Wielkopolsce, oparta tylko na groszowatym i zaspokojeniu potrzeb materialnych i najprymitywniejszych potrzeb duchowych jest KŁAMSTWEM i KALECTWEM.

Więc „Zdrój” wszystkimi siłami szuka luleczenia swego społeczeństwa z tego kalectwa i stara się je powiązać żywymi prądami duchowej jednności z „resztą Polski” (słowa „Kuryera”), przed którą to „resztą” z jej ocale niebo wyższą kulturą umysłową, Wielkopolska wstydyć się musiała i przez nią wzgardliwem mianem: „Polaka Beocya” nazwaną była. W tej „reszcie” Polaki „Zdrój” został powitany z gorącą radością, a niema ani jednego twórcy polskiego, któryby nie był z największym naciskiem wakażywał na nasze pismo, jako na istotny:

Czyn społeczny!

„Kurier” wakażyuje dalej na naszą tradycję narodową. Na najświeższych tradycjach narodowych, przekazanych nam przez naszych wieszczów i proroków oparty jest program działalności „Zdroju”, wyraził go „Zdrój” i uzasadził w swoim prospekcie i wstępem słowie do numeru pierwszego, i ani na krok nie zbacza z drogi, wakażanej mu objawieniami Mickiewicza, czy też Słowackiego. Przez beżmyślność, leniutwo, obłudę i kłamtwo pozrywane nici wielkiej i dostojnej tradycji Wielkopolski życia umysłowego między rokiem 1830 a 1850 nawiązał na nowo „Zdrój”, zgasły blask, jaki w tym czasie promieniował z Poznania na całą Polakę, wznieść pragnie, wznieca i mimo wszelkich usiłowań watecznych na nowo wznieci — „Zdrój” i wakrazi do nowego życia zaprzepaszoną tradycję wielkich ojców przez marnych potomków.

Nam towarzyszą bezustannie święte cienie Libelta, Raczyńskiego, Augusta Cieszkowskiego, Działyńskiego, Moraczewskiego, Woykowskiego, Edmunda Calliera — dawno już o nich w Poznaniu zapomniano, a że pamięć ich czynów — w zmienionych oczywiście warunkach tej epoki, w której żyjemy — na nowo wakrażoną została, i gorącym prądem w usiłowanych „Zdroju” ożyła, to jest — kto temu zaprzeczy, prócz „Kuryera”?:

prawdziwym czynem społecznym.

„O dźwięknięcie społeczeństwa z nizkiego poziomu kultury” chodzi?

A cóż robi „Zdrój”?

Wszak „Zdrój” dźwięga to społeczeństwo wielkopolskie z tego ubożuchnego poziomu, na którym stało, tak że zatraciło pojęcie znaczenia najelementarniejszych nawet słów, któremi się człowiek kulturalny posługuje — „wszak tłómaczyć trzeba, co znaczy słowo „symbol”, co „nadwartość”, a bezustannie nadchodzą listy do redakcyi z wyrzutami, że do naszego wstępnego słowa, które aż zbyt jest jasne, osobnych komentarzy potrzeba, że pismo nasze nie-

zrozumiałe i „zawiliym” pisanie stylem. Wszak „Zdrój” podjął się tej znoјnej pracy i uczy społeczeństwo wielkopolskie czytać najgłębsze objawienie wieszczów naszego narodu, zrozumieć „odwieczne hasła, stare jak świat”, które się nazywają prawdami, i wskutek tego ani zrozumiane, ani przyjęte nie zostały, bo tylko kłamstwo, fałsz, obłuda i głupota są starsze od prawd, a odwiecznie powtarzane, poklaskiem tumanionego społeczeństwa się cieszą, podczas gdy „prawdy” się krzyżuje. „Zdrój” uczy pojmować treść słów, których znaczenie zostało przez beżmyślność i tępotę całkiem zatarte, albo doszczętnie spacone, tak że każde słowo frazesem się wydaje: i ta praca „Zdroju” jest istotnym czynnikiem społecznym.

„Pragniemy, aby „Zdrój” stał się rzeczywiście przewodnikiem <sup>duży</sup> ku nowym, wyższym celom!” — pisze „Kuryer”. A cóż „Zdrój” czyni?!

Drukuje jedno z najcudowniejszych i najgłębszych objawień duszy ludzkiej: dzieło Rabindranath Tagore, którego arenę kultury europejskiej uwieńczył nagrodą Nobla, drukuje nieocenione w swej piękności przekłady Miriama najdosłowniejszych twórców literatury wszechświatowej, drukuje powieść Berenta — jedną z tych powieści w Polsce, która nie jest ładną opowieścią „krzepiącą serca”, ale tworem, sięgającym do najgłębszych ilów bytu społeczeństwa i duszy ludzkiej; Daliśmy niezrównany w swej głębi i pięknie utwór poetycki Stefana Stasiaka, które to dzieło — niby relikwię swej twórczości — przeznaczał poeta do wydania pośmiertnego, a rozplamieniony wieścią o „Zdroju”, przesłał je nam jako dar najcenniejszy; daliśmy z większych poetyckich utworów Mirskiego: „Rycerz, Śmierć i Dyabel” tak przedziwnej piękności, że i stokrotnie odczytywany zyskuje tylko na głębi i mocy — „Zdrój” podjął się nawet pedagogicznej pracy, w objaśnieniach do rubryki „U poetów” zaznajmia czytelników z nieznanymi u nas twórcami, w „odpowiedziach od redakcyi” tłumaczy ukryty sens, który tkwi w beżmyślnie powtarzanych rzeczach; podjął się wreszcie rzucenia pomostu między najmłodszymi twórcami a społeczeństwem, ułatwia im możność wypowiedzenia głośno swych uczuć i myśli a zaznajomienia z swym tworem czytającej publiczności. Ale tego wszystkiego „Kuryerowi” nie dosyć. On jeszcze czego innego pragnie:

„Ponieważ nic nie mamy do powiedzenia, a to wszystko, cośmy powiedzieli, jest pustą frazeologią”, więc „Zdrój”, o ile chce być pionierem „nowych” myśli i „nowych” idei, i rzeczywiście społeczeństwo ku „nowym celom” prowadzić, ma objawić „nową” śmiałą myśl!

Śmiałą naszą myślą, to jest przeciwstawienie etyce, uświęconej przez tradycję, wyrażonej choćby w „Wirach” Sienkiewicza: „Ten (młody szlachcic, który uwiódł wlejską dziewczynę) nie czytał zapewne Nietzschego, a jednak w żyłach płynie razem z jego krwią jakieś szlacheckie nadczołowieczeństwo. Gdyby mu ktoś uwiódł jego siostrę, strzełiłby mu w łeb jak psu, ale ponieważ chodzi o wlejską dziewczynę, więc ani się nie zatroska” — przeciwstawienie całkiem innej etyki: takiej twardej nieustępliwej Żeromskiego w „Dziejach Grzechu”, który to twór Jeśke Choiński *pornografką* nazwał — przeciwstawienie etyki jednego z najgłębszych „etycznych” twórców polskich — Kasprowicz, którego „miarodajne” sfery społeczeństwa „uni sono” bluźniercą zowią — nie mówiąc już o Przybyszewskim, może ostatnim z chrześcijan z jego surową, tragiczną, przebolesną etyką — choćby w „Złotem Runie”.

Temu sienkiewiczowsko-szlacheckiemu nadczołowieczeństwu młodego szlachcica, który zaprasza do ołtarza tę, która „rozzasłała w nim serce i zmysły”: „patrzył na jej rozpromienioną twarz, na obnażone ramiona, wykute jakby z ciepłego marmuru, na wypukłą, silną pierś, na wężowate, gibkie linie postaci, na rysujące się pod lekką suknią zbliżone kolana i porwał go wicher żądz” — temu nadczołowieczeństwu bohaterów powieści Sienkiewicza, autora listu o „rui i porubstwie”, przeciwstawia „Zdrój” tę surową etykę, wyrażoną choćby w „Annie Kareninie” Tolstoja, który to utwór „Wiadomości kościelne” ważyły się nazwać „plugawym”!

Słyszysz Ty „reszto” Polaki?!

„Nowych idei” domaga się „Kuryer Poznański” dla tego społeczeństwa, które jeszcze „najstarszych” ani przetrwać, ani pojąć nie zdołało i „śmiałej myśli” — Chciano by nas może wepchnąć na ślizką drogę walki z duchowieństwem, które wywiera przewielmożny wpływ na całe Poznańskie. Czy ultramontanin przeistacza się nagle w ultrarewolucjonistę?... Poza tem duchowieństwem, o którym Słowacki do swej matki pisał (rok 1843): „Nie! nie zostanę księdzem! Oni to faryzeusze, miłość udający, obrzydzili mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po której tylko robactwo pełzną mogło!” — otóż poza tem duchowieństwem istnieją jeszcze kapłani, dla których „Anna Karenina” jest objawieniem biednej duszy ludzkiej, która śmiertelnie umęczona, z win swych jakiegós wyzolenia szuka, — kapłani, którzy w miłości, zrozumieniu i przebaczeniu najcięższe grzechy rozgrzeszyć umieją.

„Fałszywym giestem” nazywa „Kuryer” naszą ciężką walkę z fałszami, paczeniami, jakie sam na swoich łamach (może nieświadomie) o naszych usiłowaniach rozsiewa. „Giest” nasz nie jest fałszywym, tylko o d w i e c z n y m giestem każdego człowieka, który w w imię prawdy walczy, który nawet nie potrzebuje nowych idei głosić, ale świętości „starych” bronić — fałszywym zaś, doszczętnie obłudnym giestem, jest giest tych, którzy wszelkie wysiłki dźwignięcia społeczeństwa z głębokiego marazmu piętnują „sianiem deprawcy”, albo frazeologią.

Jednem słowem nie odezwalibyśmy się na ten giest kuryerowy, gdyby nie ta konieczność odwołania się do tej „reszty” Polaki, z którą „Kuryer” łączności pragnie, aby wiedziała, z jakimi nieprzerwywalnymi wprost trudnościami ma do walczenia jedyne czasopismo, twarde reduta kulturalna, na jaką się Wielkopolska od lat kilkadziesiąt zdobyła. Na tem oświadczeniu kończymy już raz na zawsze wszelką polemikę z wszystkimi „giestami”, jakie nas jeszcze spotkać mogą.

Redakcja Zdroju.

## U POETÓW.

„Patrzeć na przedmioty, kiedy obraz znika ze snów, przez nie budzonych, jest śpiewem. Parnasiaci umiowali dany przedmiot całkowicie i ukazywali go; dzięki temu brak im tajemniczości; odbierają oni umyślnie tę pełną rozkoszy radość, która daje im wiarę, że tworzą. Nazywać pewien przedmiot, jest to poznać go; przedmiot trześć: czwartych weseleń, które powstaje ze szczęścia, że się zwolna odgaduje coś ukrytego. P o d d a w a ć: na tem polega marzenie. W tem jest doskonałe użycie tajemniczości, która stanowi symbol: wywoływać zwolna dany przedmiot przez ukazywanie stanu duszy, lub naodwrot, wybrać pewien przedmiot i zeń wylaniać stan duszy za pomocą szeregu odcyfrowań...”

Takie jest wyznanie estetycznej wiary tego, który obok Verlaine'a uważany i czczony jest przez całą młodszą generację poetów francuskich za ich najdosłowniejszego mistrza, „który, jak Henri de Régnier mówi, i w życiu i w Prawdzie kroczył ku niewidzialnym, jemu tylko objawionym gwiazdom”:

Stéphane Mallarmé.

Ten skromny profesor angielskiego języka przy Lycée Condorcet miał niesłychany wpływ na prawie wszystkich współczesnych poetów francuskich — między nimi i na tego, który już dziś ogólnie uznany Henri de Régnier — gromadził ich co wtorki przy rue de Rome i czarem swęj wymowy, głębokiem przesławianiem o świętości poezji, stworzył dla niej istotny, niezależnie hermetyczny kult. Poezja jest tajemnicą, można ją objawiać jednemu na tysiąc, a dwom na dziesięć tysięcy, jakby twórcą chrześcijańskiej Gnory, Basilides, był powiedział, i tym jedynie czar i tajemniczość poezji jest dostępna.

Sam pisał nie wiele. Najwięcej znanem jest jego niezrównane tłumaczenie poematów Edgara Poe (*Les poèmes d'Edgar Poe*, traduction en prose avec portrait et illustrations par Edouard Manet, Paris 1889) i dzięki muzyce Debussy'ego: „L'Après-midi d'un Faune” (1877). Poza tem ukazało się jeszcze parę tomików jego poezji, między nimi „Poésies” (1887) wydanie fotolitografowane. Urodził się w Paryżu 1842, umarł 1898 r.

Całkiem już teraz w Francji nieznanym to Joseph-Marie, Josephin Soulay 1815 — 1891. Pochodził z Genewy, wstąpił do wojska francuskiego w 1831 roku i już w 1836 ogłaszał pierwsze swoje utwory w kilkunastu tylko egzemplarzach, przeznaczonych li tylko dla najbliższego koła przyjaciół. Pierwsze jego poezye, przeznaczone dla szerszej publiczności „A travers champs” drukowane w Lyonie (1838) obejmowały 24 stronic, a poemat jego „Les cinq cordes du Luth” aż trzy! Oczywiście, że te zbiorki nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi, dopiero jego „Sonnets humoristiques” uczyniły go sławnym, dzięki ogromnym pochwałom, jakie im oddał Sainte-Beuve.

Więcej ceniony i znany jako malarz i twórca tak zwanej szkoły „prerafaelitów” był Dante Gabriel Rossetti (1828 — 1882) jeden z największych poetów Anglii. Już w swych tłumaczeniach z rymów poezji włoskiej: „The Early Italian Poets” (1861) wykazuje niezwykłą siłę i giętkość języka. Manuskrypt własnych swoich poezji składa do trumny swej przedwcześnie zmarłej małżonki, wydobywa go na uśmiałą namowę i błagania przyjaciół po siedmiu latach z grobu i staje się od razu jednym z najrozsławniejszych poetów angielskich. Jego „Poems” (1871) stały się niejako ewangelią dla wszystkich wyznawców kierunku sztuki, zwanego „prerafaelizmem” zwłaszcza słynną się stała ballada: „The blessed Damozel” (Błogosławiona Dziewica). Dziesięć lat później (1881) wydał tom „Ballads and Sonnets”, pozatem rzeczy o niezmiernie wartości poetyckiej, jak „Sister Helen” (Siostra Helena), „The White Ship” (Biały Okręt), „The Kings

Tragedy” (Tragedya Króla) i t. d. Namiętny, zmysłowy, mistyczny czarem zabarwiony charakter jego poezji wywoływał niejednokrotnie straszliwe oburzenie w purytańskiej Anglii, pienili się obłudni „cant” angielski na te czyste objawienia duszy istotnego twórcy, zarzucano im „chorobliwość” — oczywiście — moralną dekadencję, nerwowego rozkładu — tout comme chez nous — nie brakło nawet zaciekłych pamfletów, a między nimi tak potwornie nędzny, że wytrącił twórcy pióro z ręki: „The Fleshly School of Poetry” — coby się dało na dobrą polszczyznę — tę naszą „całkiem już swojską przełożyciel: „Wyznawcy nagiętego Ciała” — utwór bynajmniej nie Lutosławskiego — ale Roberta Buchanana, żarliwego czciela

William Wordswortha.

Ten przez Anglików ubóstwiany poeta — William Wordsworth urodził się 1770 roku w zapadłej mieścinie w prowincji Walii, gdzie jego ojciec był zamożnym i wziętym adwokatem. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich — a studiował równocześnie wszystko — odbył pieszo podróż do i po Szwajcarii, brał pod czas wielkiej rewolucji w Paryżu gorący udział, wital z entuzjazmem zwycięstwo Girondy, upadek domu królewskiego i utworzenie się konwentu. Pragnął pozostać w Francji, ale łagodnym przymusem: swoich przyjaciół zagnalony, powrócił do Anglii, gdzie się zetknął z słynnym już poetą Coleridge i zawarł z nim gorącą przyjaźń. Owocem tej przyjaźni i wzajemnego nieziemiennie dodatniego oddziaływania na siebie, to zbiór lirycznych ballad („Lyrical Ballads” 1798), w którym jednak wyróżniały się niepomniernie utwory Wordswortha.

Razem odbyli podróż po Niemczech, ale tu się rozłączyli ich drogi. Coleridge pojechał do Getyngi, a Wordsworth, nie znający jednego słowa niemieckiego, siedział jakiś czas w Goslar i znużony i rozczarowany wrócił do Anglii. Gradusy jego „ad Parnassum” były królewskiem, szkarłatnem aulnem wysłane. Uwielbiany, ubóstwiany, żyjący w jak najlepszych stosunkach majątkowych, „poeta laureatus” miał dopiero w końcu dożyć tej tragedii, która mu życie zlamiała. Zmarła mu nagle jego ubóstwiana córka Dora, a tej straty przeżyć nie mógł. To też w parę lat po jej śmierci sam umarł 1850 r. i został obok niej pochowany. Tej, nieomal idolotryczną egzaltacją ukochanej córce, poświęcił jeden z najpiękniejszych swoich utworów „The Triad” („Trójca Gwiazd” 1828).

„Źródło życia, najgłębsze bytów tajnie, odsłaniała mu samotność. W najbliższych rzeczach wokół nas odsłaniała mu się prawda, która wszystkim kieruje, bogate żniwo skupione, natchnionego oka złożył w bogatym gumnies swego serca”, mówiąc to o swoim bohaterze w „The Recluse” („Eremit”) głównem swoim dziele, wypowiedział istotę własnej twórczości. Wordsworth jest jako głęboki, filozoficzny poeta natury bezwzględnie jednym z największych, jakich Anglia wydała.

August hr. von Platen-Hallermünde urodził się 1796 w Ansbachu niedaleko Norymbergi, gdzie ojciec jego był nadleśniczym. Matka jego była całkiem oddana wpływowi francuskiemu i przez całe swoje życie korespondowała z synem w języku francuskim. Jako dziecko został oddany przez ojca, który nie był w stanie wyrzyknąć swej rodziny, do korpusu kadetów w Monachium, a stąd wzięto go do instytutu królewskich paziów. Po niedługim czasie został oficerem, ale niezadługo poświęcił się całkiem sztuce, a dzięki magnificencji króla bawarskiego Maksymiliana stał się całkiem niezależnym. Jego druga ojczyzna były Włochy, dokąd ustawicznie podróżował i tam też umarł w Syrakuzie 1835 r.

Hrabia Platen jest jedną z najmniej problematycznych natur w literaturze niemieckiej. Wprawdzie powiedział o nim Goethe: „Ihm fehlt die Liebe. Er liebt so wenig seine Leyer

und seine Mitpoeten, als sich selber" — ale głębszej miłości, silniejszej namiętności, świętego ognia gniewu nie można znaleźć jak w jego poezjach „politycznych”, ocale niebo przewyższających wszystko to, co współczesna liryka podczas powstania polskiego z roku 1831, stworzyła: „Die Polenlieder!” Hebbel twierdził, że „Platen chełpi się ułdiennicą, ale nie ma konia” i to jest doszczętnie fałszywe zdanie. Miał on konia, ale nie tego ordynarnego, ciężkiego ogiera do wozienia piwa, ale smukłego, szlachetnego, arystokratycznego, bezpożytkowe zwierze — Vulgo Pogazem zwane.

Jego ideałem nie był ten żywiołowy krzyk i nieposkromiony wybuch uczucia z jeszcze nie przebrzmiałej „Sturmu und Drang-Periode”, jemu chodziło o jak najwięcej uduchowiony wyraz swych myśli, uczuć i pragnień. Zdala od tłumu starał się go podnieść do myślowych swoich wyżyn drogą długiej, skoncentrowanej, wewnętrznej pracy. Wszystkie siły jego gorącej, namiętnej duszy — (porównaj jego bezwzględnie szczerze „Pamiętniki”) przetworzyły się w jedno jedyne pragnienie za bezwzględną pięknoscą, z której najistotniejszego źródła czerpał tę moc, że mógł się oprzeć wszystkim prądom współczesnym, które go w przyziemną „aktualność” stracić chciały.

I tak pozostał Platen w swej arystokratycznej wyłączności; dla Publiczności niemieckiej:

„marmorglatt — marmorkalt” — potemniali dorzuci do tego aforyzmu: „marmorschön”.

Z twórców jego wymienić należy Gazele (1821) szereg drobnych poematów, pisanych na wzór perackich gazeli — (utwory od 10 do 20tu wierszy na cześć miłości, wina, przyjaciół i podcaszych) — „Nowe Gazele” (1823) „Spiegel des Hafis”, oraz „Sonetten aus Venedig”. Jako twórca sonetu, nie ma Platen w całej niemieckiej literaturze sobie równego.

Wzoruując się na Aristophanesie, napisał dwie komedye: „Die verhängnisvolle Gabel” i „Der romantische Oedipus”, w której to komedyi wyzydza głównie Heinego. Odwodził mu się Heine swoim niesłychanie ordynarnym i plugawym paszkwilem „Bilder von Lucca”.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu M. G. w Dek. M. (SATANIZM). O „Satanizm” Pan pytał Bóg rzeczy wiedzieć, co płytkie, powszednie dziennikarstwo rozumie przez to słowo. Obłuda dziennikarska i sprytna spekulacja, że im słowo niezrozumiałe, tem łatwiej ogłupić bezkrytyczny tłum, wymyśliła ten termin, by odstęczyć społeczeństwu od — „Prawdy”.

Dziennikarstwu zdawało się, iż spełnia swój obowiązek, jeżeli utwierdza leniwe z natury rzeczy społeczeństwo w bezdużnym zadomowieniu się w prawach, przekazywanych mu od wieków — nie zdawało mu się, — ale chciwie wychwyciło alabę strony tego społeczeństwa, uświęcało jego najgłupsze prawidła, i w ten sposób budowało jego fundament. Bo pomiędzy tymi dziennikarzami i historykami literatury jest chyba paru ludzi, którzy sobie kpią z tego straszaka dla tej publiczności, którą się wodzi na pastkę, a który nazywa się satanizmem. Pour épater — kogo? le bourgeois? czy też Bogu ducha winnego czytelnika z którego taki dziennikarz, czy też historyk literatury żyje?

Wstrętne to ogłupianie naiwnego czytelnika, jeżeli źródłem jego jest nieuczucie i nieporozumienie, ale stołkroć razy wstrętniejsze, jeżeli ono się dokonuje mimo przeświadczenia, że wszystko to, co się pisze, jest obłudą, fałszem i kłamstwem!

Więc co się „satanizmem” nazywa?

Ducha buntu, Prometeuszowskiego ducha, który jest patronem i godłem wszystkich duchów wolnych, nie dających się wpochnąć w jarzmo tego wszystkiego, co dla społeczeństwa jest pożytecznym i jedyną prawdziwą normą — nie dającego się okuć w kajdany ciemnego dogmatyzmu, a spragnionego coraz to wyższego doświadczenia się, wprowadzenia ducha ludzkości na słoneczny dzień wolności — nazywają urzędowe kościoły „Satanizmem”, „Lucyferem” i tym symbolem posługują się twórcy, którzy sięgają poza „dogmat”.

Satanizm ten rozbrzmiewa w uroczystym hymnie: „Człowieku, gdybyś wiedział, jak twoja władza, Kiedy myśł w twojej głowie, jak iskra w chmurze Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza, I tworzy deszcz urodzajny, lub gromy i burze. Ludzie! Każdy z was mógłby samotny, więziony, Myślą i wiarą zwać całą myślą trony...”

Satanizm to wściekły okrzyk Mickiewicza:

„Ja wydam Tobie krawiarską bitwę, aniżeli szatan; On walczył na rozumu, ja wyzwał na serca.”

„Cóż ty większego mogłeś zrobić Boże?”

„Przyszłedł zbrojni całą myślą władza,

Tej myśli, co niebiosom Two gromy wydarła,

Sledziła chód Twoich planet, głąb morza rozdarła.

Mam więcęć: tę moc, której ludzie nie nadadzą,

Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,

Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa.”

Satanizm to wiara Słowackiego, że nie Bóg, tylko duch ludzki może czynić cuda. Bóg, kiedy z Noem „uczynił przymierze”, że rozwiążąc tęczę nad wodami, zakłódł się, że więcej cudów czynić nie będzie, „że praw, przez ducha nadanych materii, nigdy nie naruszy, ale je duchowi da za podstawę wolności, a złamanie tych praw silę własnej ducha światowego pozostawi”.

Jedna z iskier, wychodząca z mrocznego ośrodku Bóstwa, wyniosła się do stanu piomienia, a piomień ten tworzył indywidualność silną, anielską lub archanielską i t. d. Jedną z tych indywidualności, stanowiącą część integralną Bóstwa, mającą zatem wolną wolę, uczyniła, gdy przyszła do apogeum swej siły, akt przeciwny Wszechogłowi Stworzenia: chciała się sama miast Boga stać ośrodkiem stworzenia. — Ten to duch — tak straszca Mickiewicz naukę Boehme’go, mający jak Prometeusz przeświadczenie awojej siły, nie chciał jej poddać Wszechogłowi i stał się w ten sposób jego wrogiem — Szatanem. Szatan jest twórcą widzialnego świata, a świat ten jest wynikiem działania „Buntu”. Źródłem powstania tego świata jest wolna wola duchów, zrywających jedność z Bogiem przez pychę, wolna wola, którą te duchy posiadają, jako części integralne, emanacje ducha Bóżeego. Idee, które zaprzęgnęły stać się Absolutem, popępliły grzech pierwotny. Był materyalny jest zatem wynikiem grzechu pierwotnego — a życie grzech ten winno zmać. Bunt dał początek materii. A sprawcą tego buntu był Szatan. Dla tego Gnoścyce uważali Boga Starego Testamentu za niższego coena, demiurga, lub wprost za Szatana).

I do tego szatana, twórcy świata materyjalnego, Prometeusza<sup>1)</sup> Helady, którego Byron pierwszy wywłócił z ciemni dogmatycznej w „Kainie” modli się Baudelaire w swej słynnej Litanii do Szatana z bolesnym refrenem: „Ayez pitié de ma longue misère”; bucha tryumfalnym krzykiem do tego dobroczyńcy ludzkości i opiekuna wyzwolenia ducha hymn Carducci’go:

Salute, o Satana,  
O rebellione,  
O fona vindice  
Do la ragione!  
Sacri a te salgono  
Gli incenzi e i votti!  
Hai vinto il Geova  
Dei sacerdoti.)

Satanizm, to ciężki, krwawy ból Bytu, który czuje nieśmiertelność i nieśmiertelność tworzy i uraga Bogu Wszechogłowi, który tam

„ — mądrze i wesoło  
Zawsze rządzisz,  
Zawsze sędzisz,  
I mówią, że Ty nie błądzisz!”

Satanizm, to ciężkie zwątpienie, nie „Bólem jest wiedza. Ten, kto wie najwięcej, Najgłębiej czuje tę prawdę okropną. Ze drzewo wiedzy nie jest życiem drzewem...”

<sup>1)</sup> Paratrasa Mickiewicza nauki Boehme’go: Romerowa Mickiewicza o Jakóbku Boehme. Wydał i przekłodził z francuskiego Piotr (Jędrzejewski) Warszawa. Prasa Główna. 1888. Wszechogłowi: „płk” ofcowskiego łona, według Słowackiego — świat Idel, według Platona.

<sup>2)</sup> Chodzi o szatana Bunde a przedwiośny Połego samoty W myśli ciemności.

Hymny do tego plyną I dymy godowe Bóg kapturkiego Zgodził jabłowe.

Satanizm, jeżeli chcesz, to ten „wieczny rewolucjonista, pod męką ciała leżący duch”, który mniema, że „prawa natury nie są wieczne, ale mogą być siłą ducha przełamane, a duchy nieśmiertelne

„— w co tylko wierzą,  
Nawet, że globy w słońca zapalą,  
Nawet że ruszą ciała z mogił,  
Wszystko mieć będą, w co uwierzyły.”

Ten sam duch, o którym Śl. mówi  
„— to rycerz dumny  
I ciągle idzie do góry.  
Czasem przed prawem natury  
Jako przed piorunem stanie,  
Zbłądnie i siły natęży  
I skoczy w nieba otchłanie,  
Skoczy i piorun zwycięży.”

Satanizm to drwiące słowa „Tłomacza słowa” do Heliona:

Ludzie nieużyteczni nikomu, którzy kilka dusz jałmużną apłami, kilka ranków w kościele przekłęczeli, zamknęli się w własnym cieple niby ślimacy, — odjęli światu siłę, jaką mieli, światło, z jakim je Bóg może przysłał na ziemię... I po kilku milionach milionów lat spodziewasz się „znaleźć gdzieś zachowane na wieczność te karykatury ludzkości — odpowiadające aniołowi sądu, który je zapyta o wiarę, że nie wiedzą, jaka jest, ale ją sądzą taką być, jaka była w uczonej teologicznej głowie każdego spowiednika. Cóż? Czy nie rozśmieszysz się serdecznie na dobroduszość tych mieszkańców wiecznych wieczności?!” Z Bogiem złączyć się może tylko to, co jest Bogu równem, a ta deifikacja musi być dziełem samego człowieka — nie jest to zapłata w pojęciu epiciera — i nie może być ta deifikacja dziełem jednego żywota. Stąd wiara w bezużatne wcielenia — a za wiarę w palingenezę został Giordano Bruno na stosie spalony.

Ale satanizm w tem pojęciu wydaje się być nauką hermetyczną, zamkniętą na siedem pieczęci — dla dziennikarzy i „historyków literatury”.

Ich „satanizm” to niesłychanie zrzęzna i bezczelna blaga Leo Taxila i jego pomocniczki Miss Diana Vaughan, której na lep pozwolił się wziąć nawet Watykan. W istnienie dyabła i najrozmaitszych sekt, które go wyznawają, uwierzyło na podstawię dzieła Taxila „Le diable au XIX<sup>ème</sup> siècle” gremlin kardynałów i ono to musiało ponieść arom, gdy ich w parę lat później Taxil wykpił i dzieło swoje uwinął pozorem „najgenialniejszej mistyfikacji kościoła”. I ten to śmieśny dziecinny satanizm Taxila i istotnie „genialna” kpina z „osobowego” szatana, tego samego, któremu na imię w Polsce: „kuszy”, pokutuje dotąd w mózgach tych ludzi, którzy informują społeczeństwo polskie o literackich prądach w Europie!

U nas powiażało się pojęcie Satanizmu z nazwiskiem Przybyszewskiego. Może dla tego, że pisał o pojęciu szatana w średnio-wieczu w „Synagodze Szatana” i o zmodernizowanym pojęciu tegoż „Władcy Życia i Śmierci”, jak Kasprzowicz szatana nazywa w swoim dziełku „Na drogach duszy”. — ?

Ależ przecież już powierzchowne przeczytanie paru stronnic Przybyszewskiego, odnoszących się do pojęcia szatana, da Szanownemu Panu lepsze pojęcie o całym tak zwanym „satanizmie”, aniżeli byśmy je mogli dać w tym tak czy tak już przydługim wywodzie.

Miał odpowiedzi: LEKCJA CZYTANIA.

Pani S. O. w P. I o nasze uszy obija się jeszcze po dziś dzień poryk sztycherzy i zjadliwych śmiechów, spienionych oburzeń „moralnych”; nie braknie nawet zapowiedzi jak najostrowszego wystąpienia przeciw „lekceważeniu” publiczności, a to z powodu wierzy

ADAMA BEDERSKIEGO

w numerze 3-cim „Zdroju”.

Ponieważ Szanowna Pani nie szafuje uragliwemi słowami, przeciwnie objawia gorącą chęć zrozumienia tych „rebusów”, jak je Pani nazywa, więc spróbujemy razem przeczytać choćby taki, najwięcej wyszydany, „Spleen”.

Przedewszystkiem wyzbyć się Pani musi tego uprzedzenia, jakoby artysta operował „puatami dźwiękami” i bezsensowemi

słowami. Raczej odwrotnie: czyni to publiczność, jedynie tylko publiczność, a przedewszystkiem jej fatalni doradcy, tak zwani „krytycy”.

Artysta, jeżeli się jakimś słowem posługuje, to zastanawia się nad jego treścią. A czyż Pani pomyślała, jakie znaczenie ukryte, jaką głęboką treść zawiera w sobie takie choćby słowo, które się bezużatnie bezmyślnie używa, jak „odkrycie”, jak „wynalazek”, jak „intuicja”? każde słowo stało się w codziennem użyciu zdawkową, wytartą monetą: utajoną wartością, a często — kroć tak użytą, że jej określić nie sposób, powraca słowo dopiero artysta. Mówimy o ognistej krwi, jak mówimy o dobrze upieczonym chlebie, — artysta zaś widzi w każdej metaforze istotny wyrazny obraz — jeżeli mówi o „ogniu” krwi, to widzi jak on rzeczywiście płomieniami bucha, tak że pochodnie od niego zapalać można. Jeżeli mówi o „rozżółkłym” życiu — to, ma przed oczyma krajobraz jesienny z żółkomi lićmi — a purpurowe, tysiącno-barwne plamy, który taki las jesienny cudownym mirażem czynią, to te „postrzępione płomienie” „rozżółkłego” — życia-jesieni. Czyż nie słyszała Pani jeszcze o jesieni, wiosnie, maju, lub też styczniu życia? Tylko sobie Pani nie przy tem nie myślała. I taż to różnica zachodzi pomiędzy czytelnikiem a artystą: że ten ostatni „widzi”, a czytelnik za leniwy, by chcieć „widzieć”. — Czem jest „żywe mięso”, pewno też Pani wie. Widzi je artysta, gdy skórę z palców się zaszarpie, czy to wakutek rozpaczyliwych usiłowań, by kratę więzienną wyłamać, czy też, gdy się ją w ogniu apali, lub też z głodu, jak „jakiś Ugolino”, się ją obgryzie. A wtedy z żywego mięsa sakingi czerwieni-krew, którą się maże nie tylko przedmioty — ale i „wyblekłość” niejasnych celów. Słyszała Pani zapewne o „pisanu” najgorętszych swych myśli „serdeczną krwią”? otóż nie tylko je można krwią pisać, ale i równie dobrze „omazać”, „obryzgać”, „przekląć” i t. d.

Więc spróbujmy teraz: pierwaza zwrotka:

„Pamiętam: dłonie dziecka” i t. d. Samotne i miękkie dłonie dziecka szarpały się rozpaczliwie ku onej „wyblekłości” t. zw. tajemniczemu, niejasnemu, mającemu się celów, szarpały się o zimne, stalowe i ostre kraty dalekiego nieba, poza którymi one cele spoczywały, aż z żywego mięsa krew wytrysła i nią to one cele omazane zostały.

Dalej:

„Głos, co wypadł z ust” i t. d.: Przyszło „rozżółkłe” życie, głos rwał się jeszcze ku „rozszarpionym płomieniom”, dogasającym już, ale ginął obcy i zimny w martwicy „niechcianych” rozpadlin.

Dziecko nie myślało, że jego pragnienie, że jego wołanie w tych rozpadlinach zastygnie: przecież ono czego innego „chciało” i pragnęło.

I co powstało? strofa trzecia:

W okół „pochodnie” zapalone tą krwią, która w dniach rozpacz, lęku, przeraźliwego i trwogi ogniem buchała, — a śmierć, głupia, bezmyślna, nawet bezbolesna szczyry kły — śmierć tępa i głucha — i już bez nadziei!

Mówimy o „czarnych” myślach, o „czarnej” melancholii i t. d. — prawda? Otóż ta „czarna” myśl, rozrosła się i rozgałęziła w bujny krzew. ale krzew martwy, a na nim osiadł grzyb starości i powłókl go z upiorną natarczywością „stęchłym białem”, tak, jak pokrywa wilgne ściany starej zmurzałej budowy, a tak „natarczywie”, że go nic wypłenić nie może.

Obraz ten Bederskiego, obraz zgrzybiałego, beznadziejnego upadku, rozkładu, bezsilny, jest istotnie bardzo piękny — prawda, Szanowna Pani? niechże go sobie Pani w akupieniu przeczyta: „Czarny krzew mych myśli powłókl się stęchłym białem natarczywego grzyba”. Może i Pani dozna kiedyś

w chwilach ciężkiego, beznadziejnego opadnięcia sił, jak wiernym i prawdziwym jest ten obraz tego właśnie stanu duszy.

I nadadzieli koniec:

Ręce się rozkładają, a blade wargi szepczą już słowa bezmyślne, bez treści, co szeleszczą jak monotony, tępy marmot rzeki...

Tak! to „spleen“, przeraźliwy, przeboleany „spleen“!

A teraz, kiedy już Pani treść zrozumiała, niech Pani oczy zamknie, niech się przed wewnętrznymi oczyma jej duszy przesunie ten cały korowód posępnych i groźnych owych obrazów: to „żywe mięso“ palców obdartych z skóry, które daremnie drapały zimną i obojętną stal niebios, głuchą na rozpaczne krzyki; obłędne wołania człowieka, ujrzy Pani ten głos, który zapada się w martwicach rozpadlin i całą tę choremi płomieniami palącą się i dogorywającą jesień życia — ujrzy pani ten starczy, czarny krzew myśli, toczony przez pilnego, katowskiego grzyba i ujrzy Pani te zemdlale, rozłożone ręce i ten tępy, głuchy pomruk bezmyślnych słów, jakie z zbieleńskich warg się sączą.

A kiedy to wszystko Pani ujrzy i w sobie przeżyje, wtedy Pani zrozumie, jak silnie „symbolami“ można działać na duszę ludzką; teraz Pani zrozumie to, cośmy w pierwszym numerze o symbolu pisali; zrozumie Pani określenie symbolu przez Jana Moréasa: (Nasza wzmianka o Janie Moreasie w Nr. 5.) i ot wszystko, co o nim powiedział Mallarmé, twórca właściwy t. zw. „symbolizmu“.

A może poeta to całkiem inaczej rozumiał? zapyta Pani lekliwie. A cóż to Panią obchodzi? Czyż w tem zrozumieniu nie przeżywa się istotnego wewnętrznego wzruszenia? Chodzi tylko o to, bym z artystą współtworzył, z jego poematu wysnuł dla siebie chociażby i nowy poemat: „la poésie n'a pas besoin d'être claire comme le grand jour — il lui est permis et même avantageux de ne pas se rendre tout à fait intelligible, car on y peut mettre ainsi ce que l'on veut“. Ten głęboki akomodat Mallarmé'go miej Pani zawsze w pamięci.

Naiwne i w najwyższym stopniu barbarzyńskie poniewieranie „słowa“ sprawiło to, że czytelnik żąda od sztuki słowa, aby była „wygodną i łatwą zalotnicą“, a gniewa się, jeżeli mu się opiera i w tej chwili się nie odda. Nawet największy wirtuoz fortepianowy nie żąda tego od utworu, który po raz pierwszy bierze do ręki, aby mu się w tej samej chwili w całej piękności odalonił, studjuje go mozolnie całymi tygodniami i szczerliwie jest, jeżeli go wreszcie po zmuśnej pracy odegrać i pojąć zdoła, a od artysty słowa wymaga się, by wszystkim łopata do leniwych mózgów azuflowała.

Trzeba tak czytać poetycki utwór, jak się wygrywa utwór muzyczny na którymkolwiek instrumencie, a wtedy wszystko się zrozumie.

Wżyj się Pani w straszliwą, niepojętą grozę bitwy podczas huraganu walących dźwi, wżyj się Pani w ten obłąkańczy strach i przerażenie Sądu Ostatecznego, jakie odczuwa człowiek, leżący w rowach, kiedy nad nim leje się wulkaniczny grad pocisków, szrapneli, granatów, wtedy zrozumie Pani „Walcę w Wogezach“ i zrozumie Pani wtedy, że wszystkie kształty w duszy na drzazgi się rozszepiają, że człowiek, którego się widzi, to nie ten wylizany na pięknym obrazku, ale ten, który rozlatuje się na wszystkie strony — staje się on płataniną linii, uciekających nóg i ramion — widzi się go jako bezkształtny tułów, szarpany przez ostrza pocisków, widzi się rozciągające się ramiona, widzi się go w potwornym ogrodzie piekielnym, pełnym granatów, odłamków szrapneli, błota, gruzów, widzi się go nawet nie jako kształt, ale jako nieludzki ryk, potępienie wycie — i tak widział Wroniecki i widział Bederski człowieka „w Wogezach“. Niech się Pani teraz przyjrzy temu „sposobowi“ (dla jednego), a tak wstrząsającą groźnemu (dla innego: myślącemu, współtwórcę człowieka) — rysunkowi Wronieckiego, a wtedy go Pani zrozumie.

Dużo nam miejsca zajęła ta lekcja czytania, aleśmy się jej z chęcią podjęli, bo zniecierpliwia już nas zuchwałość pamphletów niektórych pismaków poznańskich, pisanych — dla kucharzek i lokajów, jakby ta biedna Wielkopolska już była całkiem ogołocona z inteligencji i ludzi, którzy umieją czytać!

Te lekcje czytania będziemy raz po raz powtarzać — nie dla tego, byśmy wszystkie rozumy pojedyli, ale dla tego, że ukochaliśmy nadewszystko Sztukę, i nie pozwolimy nią w tak niegodny i barbarzyński sposób pomiatać, a mamy nadzieję, że przecież tu i owdzie znajdziemy chętnie uszy. Nie tracimy nadziei, że przyjdzie czas, kiedy Słowackiego „skrawione wichry“, „jęczące i szczekające gwiazdy“ staną się zrozumiałe, byle tylko czytelnik miał ustawicznie na pamięci to głębokie powiedzenie Mallarmé'go, że istotny twórca dwójką drogą obiera, by się uwewnętrznić: okazuje przez odalenię własnego stanu duszy dany przedmiot (a więc: „krzyczącą gwiazdę“), lub naodwrot: wybiera pewien przedmiot i zeń wylania i objaśnia własny stan duszy („występione płomienie zółkłego życia“).

I niech teraz Pani już sama popróbuje czytać — i wcale się nie wstydi, że jeszcze czytać nie umie: sztuka czytania jest równie trudna, a może i trudniejsza od odegrania i głębokiego zrozumienia utworu muzycznego.

## OD REDAKCYI I ADMINISTRACYI.

Zeszłym szóstym zamykamy „Zdroju“ TOM. PIERWSZY. Ozdobną okładkę do tomu pierwszego zamawiać mogą czytelnicy nasi w administracji „Zdroju“ do dnia 15 stycznia 1918. Czytelnikom pisma naszego, którzy dotąd na stałe go nie zaabonowali, zwracamy uwagę, że w obec wyczerpania nakładu i niemożności podwyższenia go z braku papieru zniewoleni jesteśmy znacznie ograniczyć sprzedaż pojedynczych zeszytów. Liczymy się też z tem, że wkrótce dalszych zamówień prenumeraty na czas wojny nie będziemy mogli przyjmować. Prosimy zatem uwzględnić wyjątkowe warunki i prenumeratę zgłosić zawczasu.

## ERRATA.

Str. 1. Zamiast *ohydzie* winno być: *ohydzie*. Str. 6. zam. Zimonowicze: Zimorowicze, Str. 11. zam. braki: kroki. Str. 14. zam. zamki: zanki — zam. igra: igra. Str. 43. zam. hancerstwa: kacerstwa. Str. 48. zam. krzyżmo: krzyż. Str. 64. zam. Gomer: Gomez. Str. 68. zam. dygoczą: dygoczę. — zam. biję: biję. Str. 70. zam. melahollens: melanhollcus. — zam. cizej: cizez. Str. 72. zam. pifkne: piękna. — zam. uludę: uludę. — zam. i... bramy: u... bramy — zam. lub: i już — zam. uszdzie: wreszcie — zam. robotniki: zalotniki. Str. 74. zam. idtoft. idtoftas. Str. 99. zam. ongi: kiedys. Str. 108. zam. Spitteler: Spitteler — zam. jak twórczej: jak w twórczej. Str. 109. zam. dotywał: dobywał — zam. życia: żywa — zam. żwawo: żwawo. Str. 126. zam. auraję: autę. Str. 128. zam. Tandem: Tandem. Str. 135. zam. ogromnie: ogromnie. Str. 143. zam. najuflejsze: najuflejsze. Str. 154. zam. Duranda: Duran'a — zam. doję: doję. Str. 159. zam. nigdy: jedną — zam. vent: vent — zam. faux: faut — zam. Gozdanika: Gozdanin.

## SPIS RZECZY.

## TOM I.

|                                                            |                                                                                                                                                                                                                                              |
|------------------------------------------------------------|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| ARNOLD MATTHEW (tłom. Miriam)                              |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Shakespeare</i>                                         | 176                                                                                                                                                                                                                                          |
| BEDERSKI ADAM                                              |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Dziela biją w Wogezach, Impromptu erotyczne, Spleen</i> | 68                                                                                                                                                                                                                                           |
| BERENT WACŁAW                                              |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Opowieść rybałta                                           | 10, 42 (II 10) *, 70, 139, 166                                                                                                                                                                                                               |
| BESNARD ALBERT                                             |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Chłopiec z osiołkiem (rysunkowa plansza)                   | 118                                                                                                                                                                                                                                          |
| CHAMISSO ADALBERT (tłom. Miriam)                           |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Zjawisko, Burza, Idź i ty dalej.</i>                    | 40 (II 8)                                                                                                                                                                                                                                    |
| CHELMIRSKI JAN                                             |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Dostojne serca</i>                                      | 95                                                                                                                                                                                                                                           |
| CHYBIŃSKI ADOLF                                            |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Muzyka w Polsce po Chopinie                                | 55 (II 23), 92, 119                                                                                                                                                                                                                          |
| DÖRER ALBRECHT                                             |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Rysunek podług miedziorytu „Rycerz, Śmierć i Dyabeł“       | 100                                                                                                                                                                                                                                          |
| FIEDLER ARKADY                                             |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Z cyklu „Czerwone światło ogniska“                         | 107, 136                                                                                                                                                                                                                                     |
| GOMULICKI WIKTOR                                           |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Do Miriama (list otwarty)                                  | 33 (II 1)                                                                                                                                                                                                                                    |
| GOSIENIECKI WIKTOR                                         |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Rysunki zdobnicze                                          | 33 (II 1), 39 (II 7), 57 (II 25), 61 (II 29)                                                                                                                                                                                                 |
| HULEWICZ JERZY                                             |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Impresyoniści                                              | 21, 57 (II 25)                                                                                                                                                                                                                               |
| Okładka do tomu I                                          |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Płonący wiatrak (plansza podług akwaforty)                 | 164                                                                                                                                                                                                                                          |
| Rysunki zdobnicze                                          | 1, 6, 7, 10, 12, 15, 16, 20, 21, 25, 26, 27,<br>40 (II 8), 42 (II 10), 48 (II 16), 49 (II 17),<br>56 (II 24), 63 (II 31), 67, 70, 77, 79, 85,<br>86, 94, 95, 97, 99, 106, 109, 110, 126, 132,<br>133, 135, 139, 146, 161, 163, 166, 174, 177 |
| J. H.                                                      |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Sztuki plastyczne                                          | 157                                                                                                                                                                                                                                          |
| Duch dziejów Polski                                        | 95                                                                                                                                                                                                                                           |
| Edgar Degas                                                | 64 (II 32)                                                                                                                                                                                                                                   |
| JAROCKI WŁADYSŁAW                                          |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Plansze                                                    | 154                                                                                                                                                                                                                                          |
| Rysunki zdobnicze                                          | 120, 124, 129, 131                                                                                                                                                                                                                           |
| Pogrzeb huculski (plansza osobna do zesz. 6)               |                                                                                                                                                                                                                                              |
| KOZICKI WŁADYSŁAW                                          |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Władysław Jarocki                                          | 154, 179                                                                                                                                                                                                                                     |
| KUBICKI STANISŁAW                                          |                                                                                                                                                                                                                                              |
| O wiersze Adama Bederskiego                                | 159                                                                                                                                                                                                                                          |
| ŁUCZEWSKI KAZIMIERZ                                        |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Wykłady metafizyczne                                       | 158                                                                                                                                                                                                                                          |
| MALLARMÉ STEFAN                                            |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Grób Edgara Poe</i>                                     | 176                                                                                                                                                                                                                                          |
| MICKIEWICZ ADAM                                            |                                                                                                                                                                                                                                              |
| Z przemówień                                               | 6, 67, 131                                                                                                                                                                                                                                   |
| MIRSKI JOZEF                                               |                                                                                                                                                                                                                                              |
| <i>Rycerz, Śmierć i Dyabeł</i>                             | 101                                                                                                                                                                                                                                          |

\*) W zeszycie II-gim mylna paginacja.

|                                                       |                                   |
|-------------------------------------------------------|-----------------------------------|
| MORACZEWSKI WACŁAW                                    |                                   |
| O krytyce twórczej                                    | 151                               |
| MORÉAS JAN (tłom. Miriam)                             |                                   |
| Z „Kantylem”, Z „Le pèlerin passionné”                | 197                               |
| NOWINA                                                |                                   |
| Zamknięta myśl                                        | 15                                |
| O pełnię życia                                        | 97                                |
| Płonący wiatrak                                       | 164                               |
| OLKIEWICZ ALEKSANDER                                  |                                   |
| Znajda                                                | 51 (II 19), 86, 114               |
| ORKAN WŁADYSŁAW                                       |                                   |
| Pochwała życia                                        | 7                                 |
| O' SHAUGHNESSY ARTUR WILLIAM EDGAR (tłom. Miriam)     |                                   |
| Zdrój łez                                             | 20                                |
| PLATEN AUGUST (tłom. Miriam)                          |                                   |
| Sofokles                                              | 176                               |
| PORĘBOWICZ EDWARD                                     |                                   |
| Glossa do „Genesis z Ducha”                           | 132                               |
| ROSSETTI DANTE GABRIEL (tłom. Miriam)                 |                                   |
| Napis                                                 | 177                               |
| ROŻEK MARCIN                                          |                                   |
| Rzeźba Tadeusza Kościuszki (plansza osobna do zes. 3) |                                   |
| RÓŻYCKI LUDOMIR                                       |                                   |
| U źródeł muzyki polskiej                              | 25                                |
| SISLEY ALFRED                                         |                                   |
| Krajobraz (plansza kolorowa do zes. 1)                |                                   |
| SKORUPKA STANISŁAW                                    |                                   |
| Robaczki świętojańskie                                | 153                               |
| Nowy hymn miłości                                     | 31                                |
| Poeta marzeń i myśli                                  | 63 (II 31)                        |
| SŁOWACKI JULIUSZ                                      |                                   |
| Rozleniwienie ducha (z Genesis z Ducha)               | 163                               |
| SOULARY JÓZEFIN                                       |                                   |
| Sonet, Zuchwałe marzenia                              | 178                               |
| SPITTELER KAROL                                       |                                   |
| Król południa i ksiądz dzwonów, Kronos i starzec      | 108                               |
| STASIAK STEFAN                                        |                                   |
| Ku gasnącym zorzom                                    | 26                                |
| TAGORE RABINDRANATH (spolszczył JAN KASPROWICZ)       |                                   |
| Księżyc przybierający                                 | 16, 49 (II 17), 79, 110, 146      |
| TENNER JULIUSZ                                        |                                   |
| O sztuce aktora                                       | 27, 61 (II 29)                    |
| TIUTCZEW TEODOR (tłom. Miriam)                        |                                   |
| Droga z Królewca do Petersburga, Głosy nocne          | 78                                |
| TYC TEODOR                                            |                                   |
| Róża Morymundu                                        | 120                               |
| WORDSWORTH WILLIAM                                    |                                   |
| Na moście westminsterskim                             | 178                               |
| WRONIECKI JAN                                         |                                   |
| Rysunki zdobnicze                                     | 68, 107, 138                      |
| ZDRÓJ                                                 |                                   |
| Słowo wstępne                                         | 1                                 |
| Pamięci Tadeusza Kościuszki                           | 65                                |
| Martyrologia muzyki polskiej                          | 161                               |
| Miscellanea                                           | 31, 63, (II 31) 95, 125, 157, 184 |



# „OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

Plac Wilhelmowski nr. 17 - - - - -

**Dzieła „Ostoi” nabyć można między innymi w następujących księgarniach i agencjach:**

Bogdan Chrzanowski, Poznań, ul. św. Marcina 70  
 A. Cybulski „ „ „ „ 9 10  
 Księgarnia św. Wojciecha „ „ „ „ 69  
 J. Leitgeber & Co. „ „ „ „  
 M. Niemierkiewicz „ „ „ „  
 W. Tempowicz „ „ „ „  
 Ed. Bote & B. Bock „ „ „ „  
 Josef Jolowicz „ „ „ „  
 H. Bielińska Fa. Globus, Szamotuły  
 Czarliński Roman, Gdańsk  
 Drukarnia Centralna, Śrem  
 Dziennik Berliński, Berlin O. 27, Raupachstr. 6  
 Księgarnia Kujawska, Inowrocław  
 Stefan Knast, Inowrocław  
 Księgarnia Bydgoska (B. Posłuszny), Bydgoszcz  
 Księgarnia Kujawska, Inowrocław  
 I. B. Lange, Gniezno  
 W. Niesiołowski, Ostrów  
 A. Prądyński, Września  
 Stefan Rowiński, Ostrów  
 Skłwiński, Berlin, Langestr. 82  
 Kiedrowski, Bydgoszcz  
 T. Rudnicki, Buk  
 L. Kromski, Zbąszyń  
 R. Ziętkowski, Czarńków

St. Mikołajski, Czemlin  
 Reich, Toruń  
 Zabłocki, Toruń  
 W. Urbańska, Toruń  
 J. Swinka, Kcynia  
 W. Lewandowski, Wolsztyn  
 B. Kleimński, Gostyń  
 W. Larolczak, Jarocin  
 S. K. Ziolkowski, Janówiec  
 M. Kasprzak, Odolanów  
 M. Tomaszewska, Kościan  
 H. Stefanowicz „ „ „ „  
 F. Achmański „ „ „ „  
 W. Męchewski, Kruświca  
 J. Kochański, Krobica  
 M. H. Moll, Koźmin  
 A. Masłowski, Krotoszyn  
 Chmara, Leszno  
 M. Smoczewicz, Mogilno  
 J. Czarnyński, Miłosław  
 W. Malicki, Nakło  
 M. Thiel, Oborniki  
 W. Poszwiński, Pniewy  
 H. Chudzińska, Pakość

S. Bendiewicz, Pleszew  
 I. Gizelski, Rogoźno  
 C. Wojciechowski, Śrem  
 L. Rogalski, Środa  
 J. Heinricht, Strzelno  
 J. Nowakowski, Trzemeszno  
 T. Kreglewski, Wągrówiec  
 L. Kollat, Wągrówiec  
 St. Czosnowski, Wronek  
 M. Cegielski, Witkowo  
 J. Cyplik, Kałisz  
 P. Rybacka, Żerkow  
 M. Ksycka, Żnin  
 Majkowski, Grodzisk  
 Drukarnia i Księgarnia, Pelplin  
 M. Muszyński, Czersk  
 F. K. Sikorski, Grudziądz  
 Władysław Majtkowski, Trzaw  
 R. Wojtecki, Wąbrzeźno  
 M. Szczuka, Lubawa  
 A. Jankowski, Lubawa  
 K. Wojciechowski, Brodnica  
 B. Miłoszewski, Nowe Miasto  
 Woźniak, Kostrzyn.

**Składy główne:** na Królestwo Polskie Gebethner & Wolff w Warszawie.  
 „ Galicyę Gebethner i Spółka w Krakowie.  
 „ Szwajcaryę „Librairie Polonia” Lousanne Maisen du Kursaal.

**Magazyn**  
**eleganckich kapeluszy**  
**damskich**

**A. Kempieńska**  
**Poznań**

Fabryka kapeluszy

Fabryka czapek futrzanych

## Nowości zimowe

|                                  |          |        |
|----------------------------------|----------|--------|
| Kostiumy . . . . .               | od 30 do | 550 M. |
| Spódnice . . . . .               | 15       | 190    |
| Ulstry . . . . .                 | 38       | 360    |
| Paletoty aksam. i plusz. . . . . | 90       | 1200   |
| Suknie . . . . .                 | 60       | 300    |
| Bluzki . . . . .                 | 18       | 100    |
| Hałki . . . . .                  | 12       | 80     |

Plaszcze futrzane, Futra  
 sportowe od 200 do 2000 M.  
 Garnitury futrzane  
 od 60 do 1400 M.

**M. MALINOWSKI**

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich  
 Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

# S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

| Dla Pań                             |             | Dla dzieci |             | Dla panów  |          |
|-------------------------------------|-------------|------------|-------------|------------|----------|
| Bluzki                              | Pończochy   | Sukienki   | Torebki     | Skarpety   | Szelki   |
| Gorsety                             | Rękawiczki  | Trykoty    | Koźnierzyki | Rękawiczki | Trykoty  |
| Hałki                               | Koźnierzyki | Fartuszki  | Kapelusz    | Krawaty    | Parasole |
| TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI. |             |            |             |            |          |

## W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcyi damskiej i futer  
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra  
„ garnitury futrzane  
„ płaszcze  
„ kostyumy  
„ suknie  
„ szlafroczy  
„ bluzki  
„ czapki sealowe

### Własne pracownice

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria,  
karakuły, żrebce, popielice, bielistki, chinchilla,  
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy  
białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze

## ATELIER REMBRANDT

właśc. S. Dobska

### Zakład fotografii artystycznej

Tel. 5430

Poznań, ulica Berlińska 4

Tel. 5430

## Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,  
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horöglä, Burgera itd.

**Karol Ecke** w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19  
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

